

odgłosy



Nr 36 (340)
6. IX 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: **Armia Łódź** • **Epopeja francuska 1944** • **Przygoda wiatrem podszyta** • **Miejscze zamieszkania Bałtyk** • **Pochwała autentyzmu** • **Teatr potrzebny** • **Polonica** • **Nowelka z magazynu Hitchcocka**

KAROL JAROSZEWSKI

NASZE ŻYCIE POZAGROBOWE

To już nie nadzieja, marzenia, hipoteza. To fakt. Wasz reporter stwierdził z całą pewnością istnienie życia pozagrobowego w mieście Łodzi. Nie jest ono ani takie piękne, lub okropne, ani takie długie, jak dantejskie — ale jest. Dysponuje rajem dla umarłych i „chwilowotrocheprawieumarłych”, oraz czyszcem i piekłem dla żywych. Mieści się w Śródmieściu, na Górnej, na Bałutach i Widzewie, a też na Kozinach, Chojnach, Polesiu i w Rudzie. Można doń dojechać wygodnie tramwajem, ale stokroć szykowniej, a także taniej jest pojechać karetką pogotowia.

I. RAJ

ULICA Bolesława LL manowskiego dojeżdża się wprost do rajów wystawionego przez Przedsiębiorstwo Budownictwa Mieszaniowego numer kolejny któryś tam. Potem krótki spacer przez wertery i oto stajemy przed blokiem zet.

W dwóch pokojach z kuchnią mieszka tu pani Wiesława M., Stanisław M. — jej mąż — powożący ciężarówką na długich dystansach nie tań, że u każdego z czterech stałych celów jego podróży oczekuje go kobieta. „A co — jak świnia będę spał w bazie? „Muszę mieć jakieś rozpreżenie — praca nerwowa”, „Jedzenie i kobity wpada taniej, niż w barze mlecznym” — tłumaczył żonie jak komu dobremu. Stani-

slaw M. wódki nie pił — no chyba, że była jakaś okazja. A jeśli już, to nie wiele — no chyba, że wódki było dużo. Część pieniędzy oddawał żonie, a tę większą zostawiał dla siebie. Najgorszym jednak nawykiem męża był istic szoferki obyczaj spania. Wracał z drogi, siadał na amerykańce i zasypiał. Budził się — zjadał za sto złotych i znów zasypiał. A jak się obudził, pora była iść spać. Kiedyś się zaś Stanisław M. wyspał — uznawał, że skończył już robić to, do robienia czego służył dom. Wtedy wychodził i wracał się wyspać.

Potem już kiedy to się stało, kamienica, czyli blok na dobro Stanisława M. zapisała, że żony nie bił i dzieci też nie. „Nie bił — bo nie zauważa” — dopominała się współzycielka Wiesława M., żona Stanisława. „Mężczyzna jest po to, żeby zarabiać, a nie żeby zauważać” — odpowiadały sąsiadki życiowo doświadczone. „co kto woli, jak zauważa, to bije” — odpowiadały inne.

Nim jednak to się stało, co się stało, nikt w bloku nie dzielił się życiowym doświadczeniem z Wiesławą M., a tym bardziej schabem z przegapionej przez panią szoferowa porannej kolejki. Przychodziła do sąsiadki i mówiła: „Pani pożyczycy łyżkę soli, a mój mąż to teraz pewno u kochanicy”. „Ma pani łyżkę? To proszę niech sobie pani na-

Dalszy ciąg na str. 6



Foto: EDWARD HARTWIG

HELENA PACZESNA

Konfrontacja marzeń

O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna? Dzisiaj młoda dziewczyna, tak samo zresztą jak młody chłopiec, marzy o tym, by uczyć się... Tak to przynajmniej wygląda w świetle badań naukowych prowadzonych przez Instytut Pracy w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego w maju i czerwcu ubiegłego roku. Wśród 2.060 uczniów kończących różnego rodzaju szkoły w samym Tomaszowie Mazowieckim, jak również w związanym z nim gospodarczo rejonie podmiejskim, przeprowadzono ankietę zawierającą prośbę o odpowiedź na następujące pytania: 1) co chcesz robić po ukończeniu szkoły, 2) jaki zawód wybierasz dla siebie, 3) dlaczego wybierasz ten właśnie zawód.

Badaniami, które miały odsonić marzenia nastolatków, objęto 89% absolwentów szkół podstawowych, zasadniczych zawodowych, czystakładowych, średnich ogólnokształcących, liceum pedagogicznego w samym mieście oraz 73% uczniów szkół podstawowych strofy podmiejskiej.

Już w samym sformułowaniu „młodzieńcze marzenia” jest coś z irracjonalizmu, powszechnie się przyjmuje, że z wiekiem, gdy człowiek dorosłe i mądrzeje większość takich marzeń przechodzi jak odra czy wietrzna ospa. Autorzy badań żywili obawy, że odpowiedzi czternastolatków będą zawierały wiele elementów zaczerpniętych jeszcze z dziecięcego świata fantazji. Oczywiście, otrzymano również kilka ankiet, których autorzy podawali, iż pragną podróżować po egzotycznych krajach, piwać na morzach południowych, cały jednak otrzymany materiał dotyczący planów życiowych nastolatków cechuje życiowy realizm. Jest to zresztą w pełni zrozumiałe, jeśli uwzględnimy, że ankietą była przeprowadzana wśród młodzieży rejonu charakteryzującego się raczej niskim tempem rozwoju gospodarczego. Wybór takiego właśnie środowiska dla badań marzeń młodzieży wpłynął zapewne na ich „przyziemność”, ale z drugiej strony daje przeciętny obraz Polski powiatowej.

A więc znakomita większość badanej młodzieży pragnie się uczyć dalej (87%). I tak aż 92% kończących szkoły podstawowe, 96% maturzystów ogólnokształcących szkół średnich, 63% uczniów szkół przyzakładowych, 63% zasadniczych zawodowych i 96% przyszłych abiturientów liceum pedagogicznego. Oczywiście, pewna część tej młodzieży, znajdująca się zresztą w mniejszości, pragnie pogodzić naukę z pracą zawodową. Fakt pozostaje jednak faktem, że dalsza nauka ocale niebo zdystansowała wszelkie inne plany życiowe młodzieży. Tylko bowiem 6,5% ogółu badanych pragnie natychmiast po ukończeniu szkoły rozpocząć pracę zawodową, pracować zarobkowo na roli 0,2% i pozostać w gospodarstwie domowym — 2,9%. Ta ostatnia grupa, to oczywiście młodzież wiejska, związana pracą na roli w gospodarstwie rodziców. Pewne zdziwienie może budzić fakt, tak wysokiego odsetka absolwentów szkół przyzakładowych pragnących się uczyć dalej, szkoły te aczkolwiek uprawniają do wstąpienia do technikum, w zasadzie są nastawione na kształcenie kwalifikowanych robotników, którzy natychmiast po ukończeniu nauki przystąpią do pracy. Należy przypuszczać, że tak wysoki procent uczniów tych szkół, pragnących wsta-

WACŁAW BILIŃSKI

„Chwała WEHRMACHTU

I. WIEŚ ORLA

Przed Ozorkowem skręcamy z szosy na piaszczystą, boczną drogę. Otaczają nas zagajniki, bujane wigotne łąki, miedze wysadzone zniechęconymi w upale wierzbami. Gdzieś na polach dudni młocarnia: już po żniwach. Rżyska opustoszały, wieje od nich smutkiem i jesienią.

Tak było tu i 25 lat temu: melancholijny, typowy polski krajobraz nie zmienił się od tamtych dni, choć we wsiach przybyło trochę murawców i słupów z przewodami elektrycznymi. Po niebie i wówczas żeglowały łebki jeszcze obłoki — jak dziś. W sadach uginają się drzewa

pod owocem — jak dziś. 25 lat temu — 9 września 1939 roku.

W ów dzień, właśnie tu, we wsi Orla, zdarzył się nieznanym dotąd epizod: trafiliem na jego ślad przypadkiem przeglądając stare, niemieckie książki. „Raporty dowódców batalionu” — to nieciekawe, pomyślałem, i już miałem książkę odrzucić, gdy nagle zwróciła moją uwagę mapka okolic Ozorkowa. „Sytuacja z 9 września 1939 roku”. I tekst:

„Zaczyna się morderezy pojedynkę między naszymi czołgami, a polską piechotą. Szczególnie niebezpieczne staje się dla nas działo przeciwpancerne, zdobyte ubiegłej nocy przez Polaków. Zajęło ono pozycję

ogniową u węgla chłopskiej chaty i choć raz po raz dławione przez nasze karabiny maszynowe, wciąż odpowiada ogniem prowadzonym przez coraz to nową polską obsługę. Jako ostatni strzela z niego polski oficer — póki wreszcie nie zginie. Ale i nasze straty w tej walce są niezwykle ciężkie: 2 czołgi spłonęły, 3 inne trafione, musiały się wycofać z walki”.

Szukajmy więc tej chaty z za węgla której było zdobyte działo aż po ostatni pocisk. Szukajmy śladów tych nieznanych podłódzkich Termopil. Pytajmy ludzi ze wsi Orla. Zwróćmy się do sołtysa. Cóż z tego, że minęło ćwierć wieku? Może ktoś pamięta? Więc pytajmy, pytajmy, pytajmy.

Na próżno: krajobraz się nie zmienił, lecz dla ludzi owe ćwierć wieku było bezlitosne: pomarli, ruszyli w świat wysiedleni przez okupanta. Trudno dziś w Orle znaleźć świadków wrześniowych dni. A z tych, których odnajdujemy nikt nie widział heroicznego epizodu: I tak wspomnienie żołnierskiego bohaterstwa przetrwało tylko w skąpej relacji wroga.

Chcę więc już wracać, zniechęcony —

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 3

KONWENCJA par
tili demokracji-
cznej w Atlantic
City po prawie pół
godziny trwających wy-
marchach wybrała swym
kandydatem prez. L.
Johnsona. Co do takiej
decyzji Konwentu nikt
nie miał wątpliwości.
W ciągu niespełna rocz-
nej prezydentury
Johnson zjednał sobie
sympatię i poparcie tej
części społeczeństwa
amerykańskiego, która
w polityce Kennedy'ego
dopatrywała się pewnej
odnowy życia polity-
cznego i gospodarcze-
go, prób dostosowania kursu
do obecnej sytuacji i ukła-
du sił w świecie.

Jego słowa wypowiedzia-
ne w dniach żałoby po za-
mordowanym prezydencie:
„Kontynuujmy”, a powtórzo-
ne obecnie w platformie wy-

borczej — poparcie zostały
w jakimś stopniu polityką
zagraniczną i wewnętrzną
Johnsona. Szczególnie tą o-
statnią. Mam tutaj na my-
śli oczywiście ustawę o pra-
wach obywatelskich. Tak
więc powierzenie misji kan-
dydowania w listopadowych
wyborach obecnemu prezy-
denta jest z punktu widze-
nia demokratów w pełni
uzasadnione i — jak się rze-
kło — nie stanowi żadnej
niespodzianki.

Godnym zainteresowania
faktem jest natomiast zgło-
szenie przez Johnsona kan-
dydatury Huberta Humph-
reya na wiceprezydenta.
Senator z Minnesoty ucho-
dzi bowiem za jednego z
najbardziej liberalnych przy-
wódców demokratów.

By lepiej ocenić dlaczego
zgłoszono właśnie jego spo-
śród licznego grona poten-
cjalnych kandydatów — mu-
simy na chwilę powrócić do
nieodległej przeszłości.

Kiedy przed czterema laty
— w r. 1960 na zjeździe no-
minacyjnym partii demokra-
tycznej John Kennedy wy-
sunął propozycję, by powie-

Odgłosy W świecie

zrył wiceprezydentem John-
sonowi — fakt ten prasa
zachodnia oceniła jednomyślnie
jako próbę kompromisu
między bardziej liberalnym
skrzydłem reprezentowanym
przez Kennedy'ego a skrzy-
dłem prawniczym, które

czności — program umiar-
kowania. Polemizując z os-
karżeniami lidera partii re-
publikańskiej — demokraci
stanęli jakby w przeciwnym
biegunie. Znajduje to odbi-
cie niemal w całej 94-stro-
nicowej platformie wybor-

wówczas uosabiał właśnie
Johnson.
Również po dramatycz-
nych wydarzeniach w Dal-
las często powracało do py-
tania: czy Johnson dnia dzie-
siętego opowiadający się
za linią Kennedy'ego będzie
podobny do Johnsona po li-
stopadowych wyborach? In-
nymi słowy — nie dawano
wiary liberalizmowi obecn-
ego prezydenta i przypomina
no jego związki z prawicą
Południa.

Zgłoszenie kandydatury
Humphreya jest więc — w
moim przekonaniu — próbą
odejścia się od tej opinii.
Jeśli tak jest naprawdę —
byłby to prognostyk wielce
pomyślny dla pokoju świa-
ta.

Do takiej decyzji w pew-
nym stopniu przyczynił się
układ sił w obozie repu-
blikanów. Zwycięstwo ele-
mentów skrajnie zachowa-
wanych, co znalazło wyraz
w okresie wyborczym: Gold-
water-Miller i ultraprawi-
cowy program republika-
nów zmusiły niejako demok-
ratów do rzucenia na prze-
ciwną szalę większej elasti-

cznej, i w części, poświęco-
nej polityce zagranicznej, i
wewnętrznej.

I tak np. ostro atakowany
przez Goldwatera układ mo-
skiewski (senator z Arizony
w wypadku zwycięstwa za-
powiedział nawet jego unie-
ważnienie) określony został
jako historyczne cofnięcie
znad przepaści atomowej i
pierwszy krok w kierunku
kontrol zbrojeń.

Potwierdził to zresztą
Johnson w przemówieniu
akceptującym wybór, stwier-
dzając, że główną troską
rządu powinno być, by broń
atomowa nigdy nie została
użyta.

Po raz pierwszy więc mi-
dzy demokratami a repu-
blikanami zarysował się wy-
raźny podział; po raz pier-
wszy też wyborca amery-
kański będzie mógł dokonać
wyboru: za liberalizacją st-
osunków ze Wschodem, czy
przeciwnie, za kontynuowa-
niem dotychczasowego roz-
woju stosunków ekonomicz-
no-społecznych w USA czy
też za powrotem do zasad,
obowiązujących przed odno-
wą, zapoczątkowaną przez
Roosevelta.

Oczywiście, taki „biało-
czarny” obraz jest w dużym
stopniu uproszczony. Zarów-
no program demokratów jak
i republikanów za punkt
wyjścia biorą przecież przede
wszystkim interes amery-
kańskiego kapitału. Mimo
wszystkiego jednak istnieje mo-
żliwość wyboru, choćby w
myśl przysłowia: „Z dwój-
ga złego — wybierzmy mniej
sze...”

Konwencja w Atlantic
City zamknęła okres przygo-
tawczy do wyborów i teraz
kampania (dotychczas prowa-
dzona właściwie tylko przez
Goldwatera) ruszy zapewne
„z kopyta”.

Raz jeszcze, choć z pewno-
ścią nie ostatni, każe to za-
stanowić się nad szansami
dwóch duetów:

Johnson — Humphrey
i Goldwater — Miller.

Wynik wyborów wydaje
się być przesądzony. W ta-
kiej „konkurencji”, ze wzglę-
dów omawianych już na tym
miejscu, kandydaci republi-
kanów stoją zdecydowanie
na przegranej. Potwierdzają
to i ostatnie doniesienia, z
których wynika, że jeśli ok.
10 proc. wyborców demokra-
tycznych przeszło na Gold-
watera, to aż ok. 50 proc.
republikanów przeniosło się
do obozu zwolenników John-
sona. Jak bowiem przewi-
dział w ostatnim dniu Kon-
wentu Humphrey — ekstre-
mizm Goldwatera nie tylko
nie odpowiada społeczeństwu
amerykańskiemu, ale nawet
większości członków partii
republikańskiej.

EPOPEJA FRANCUSKA 1944

WYZWOLENIE PARYŻA OFENSYWA OD TULONU DO STRASBURGA

Po dwudziestu latach, 25
sierpnia Paryż obchodził u-
rocznicę dwudziestą roczni-
cę swego wyzwolenia spod
okupacji hitlerowskiej. Świe-
ciła ją zresztą cała Francja
— to dwadzieścia lat temu w
roku 1944 u boku armii al-
lianckich wylądowały na zie-
mi ojczystej pierwsze wojska
Wolnych Francuzów.

Zagadnienie oswobodzenia
Paryża sprawiło niemal klo-
potu twórcom planu Over-
lord. Początkowo dowództwo
sił zjednoczonych zamierzało
pozostawić miasto poza za-
sięgiem działań wojennych.

Sirony ujemne tego planu
były poważne. Nielokalne
Paryża gwarantowała rów-
nież i Wehrmachtowi pełne
bezpieczeństwo, 62 mosty na
Sekwanie i w dolnym biegu
Marny zapewniali Niemcom
wygodny odwrót. Niezależnie
od niedogodności natury stra-
tegicznej okrażenie Paryża
groziło miastu perspektywą
głodu, gdyż rezerwy żywno-
ści były bardzo skąpe. Pod-
czas bitwy o Normandię za-
opatrzenie miasta było już
niedostateczne, a po okraże-
niu inne drogi do miasta
miały zostać również odcięte.

Druga ewentualność —
frontalny atak na miasto,
wydawała się nie do przyję-
cia. Groziłoby to nieobczal-
nymi stratami wojska i lud-
ności cywilnej, nie mówiąc
„żo o ruinie miasta. Na przy-
kładach Stalingradu i War-
szawy poznano okrutny los
miast brzoń dom po do-
mu.

Jeśli idzie o plany niemie-
ckie, to Hitler najpierw wy-
dał rozkaz obrony Paryża do
ostatniego żołnierza, a na-
stępnie rozkaz spalania i zbu-
rzenia miasta. Szczególnie dla
Paryża komendantem miasta
był gen. von Choltitz, realista,
świadomy tego, że wojna
dla Niemiec jest już przegra-
na. Postanowił więc sabota-
wać rozkazy fùhrera, przyjął
postawę bierną i wyczekują-
cą.

Nieprzewidziana trzecia si-
ła, która nagłe wtargnęła po-
między te układy militarne
i ostatecznie wpłynęła na
zmianę planów alianckich —
było powstanie ludu Paryża,
który sam, nie czekając na
deciuscia bliskich już armii
alianckich podjął walkę wy-
zwolającą.

Wtedy to gen. Leclerc do-
wodziący 2 dywizją pancerną,
dopuszczając się poważnej
niesubordynacji — 21 sierpnia
na własną rękę wysłał w
kierunku walczącego Paryża
20 czołgów pod dowództwem
de Guilleborta. Amerykań-
skie dowódca gen. Bradley u-
dzielił mu ostrego upomnie-
nia. Jego inicjatywa, podkry-
towana uczuciami patriotycznymi,
była niedogodna z punktu
widzenia dyscypliny wojskowej
i sprawa wydawała się przegrana.
Gen. Leclerc był zrozpaczony
lecz bezsilny, gdy zupełnie nie-
oczekiwanie przyszło parpo-
cie z góry dla jego planów.

To przybyszający z Algierii
gen. de Gaulle zwrócił się
do Eisenhowera. Jego argu-
mentacja natury czysto wojs-
kowej, szybko trafiła do
przekonań głównodowodzą-
cego: garnizon niemiecki jest
słaby, duża część miasta jest
opanowana już przez po-
wstańców, zajęcie Paryża o-
znacza opanowanie najstol-
niejszego węzła komunika-
cyjnego Europy zachodniej i
sześćdziesięciu dwóch mostów
jeszcze nieburzonych, nie
mówiąc już o wrażliwości mo-
ralnym, jakie wywrze tak na
aliantach jak i na wrogu zdo-
bycia Paryża.

Ike ustąpił. Nazajutrz 2
dywizja pancerna pod dow.
gen. Leclerca i 4 armia ame-
rykańska otrzymały rozkaz
frontalnego uderzenia na Pa-
ryż.

W tym samym czasie na uli-
cach Paryża trwała walka,
17 sierpnia opuścił stolicę
Francji kolaborujący z Niem-
cami rząd Laval'a, wybuchają
strajki, kina i teatry są za-
mnknięte, stanęło paryskie
metro, elektrownia pracuje
tylko przez półtorej godziny
na dobę.

Wrzenie wzrasta. Wpraw-
dzie Parodi, delegat de Gau-
lle'a, reprezentujący kierunek
umiarkowany w dowództwie
Ruchu Oporu, daży do po-
wstrzymania wybuchu, lecz
nie można już opanować roz-
palonych umysłów, długo ha-

mowana nienawiść do oku-
panta eksploduje w ulicznych
incydentach z Niemcami. Nie
da się zwlekać dłużej, 19
sierpnia o godz. 8 rano za-
czynią się...

Po czterech ponurych la-
tach okupacji znowu trójko-
lorowy sztandar powiewa na
budyńku prefektury policji,
na ratuszu, na katedrze No-
tre-Dame, na pałacu Chaillot.
Mury pokrywają się afiszami
zagrzewającymi paryżanów do
walki. Wznoszą się barykady.
W ich budowie biorą udział
dosłownie wszyscy. Broń zo-
dobywa się na Niemczech. Wal-
ki są ostre, w powstaniu zgi-
nęło ponad 2000 ludzi. I do
ostatniej chwili akty terronu
ze strony SS, jeszcze 25
sierpnia tuż przed nadej-
ściem alianców Niemcy roz-
strzelują cywiliów i milicję
ludową, każąc im przed eg-
zekucją wykopać własne
groby.

Tymczasem armia gen. Lec-
lerca jest już na przedmie-
ściach Paryża. 25 sierpnia —
to dzień wyzwolenia stolicy
Francji. Po południu przyby-
wa do Paryża gen. de Gaul-
le, o godz. 16.30 jest obecny
przy podpisaniu kapitulacji
przez gen. von Choltitza w
kwatrze głównej gen. Lec-
lerca na dworcu Montparnas-
se.

W tym samym czasie zos-
tają przesadzone losy pomyś-
nego lądowania sprzymierzo-
nych, które rozpoczęło się 17
sierpnia na plażach Prowans-
sj. Pod osłoną 5 tysięcy sa-
mołotów podplywa ku połu-
dniowym brzegom Francji 2
tysiące okrętów i statków.
Wiozą one 288 tysięcy Fran-
cuzów pod wodzą generała
de Latre (ten ostatni płynął
na „Batory”) i 100 tysięcy
Amerykanów tworzących VII
Armię. Pod osłoną nocy od-
bywa się lądowanie w okoli-
cach Tulonu, które daje po-
czątek błyskawicznemu mar-
szowi na Strasburg. Niemiec-

ki opór słabnie. Do Marsylii
wkracza gen. Monsabert na
czole garski żołnierzy i bie-
rze do niewoli silny garnizon
niemiecki. Nadciągający ze-
wszad maqui'ardzi łączą się
z armią regularną w trium-
falnym marszu wyzwolen-
czym. W ciągu trzynastu dni
armia gen. de Latre wzięła
do niewoli 37 tysięcy jeńców,
zniszczyła dwie dywizje nie-
mieckie, wyzwalaając ogrom-
ną część terytorium Francji.
Straty własne w tych wal-
kach wyniosły 4 tysiące za-
bitych i rannych. Poprzez
St. Etienne i Lyon, 30 sier-
pnia I armia francuska docie-
ra do Avignon. Wszędzie sil-
ne ugrupowania maquis
wspierają armię. 11 września
wyzwolono Dijon, 12 — wo-
jska gen. de Latre spotykają
się z armią gen. Leclerc'a.
Teraz już cały jednolity
front aliancki zwraca się w
kierunku na wschód. W miarę
zbliżania się ku granicom
Reichu opór niemiecki znów
wzrasta. Mimo to VII armia
amerykańska osiąga Vozege,
a dywizja Leclerc'a wkracza
do Strasburga. Teraz dywizja
Leclerc'a i 36 dywizja ame-
rykańska przechodzą pod
rozkazy gen. de Latre.

17 grudnia zaskakuje alian-
tów kontrofensywa von Rund-
stedta w Ardenach. Dla uzy-
skania brakujących rezerw
Eisenhower nakazuje ewaku-
ację Alzacji. Decyzja wywo-
luję protesty ze strony de
Gaulle i de Latre. Osta-
tecznie rozkaz zostaje odwo-
lany i obrona Strasburga po-
stanowiona. 7 stycznia zaczy-
ną się ciężkie bitwy, tym ra-
zem z przeważającymi siłami
niemieckimi, przy 15-stopni-
owym mrozie i silnych opa-
dach śniegu. 2 lutego miasto
jest ostatecznie oswobodzone,
9 osiągnięto Ren na całej je-
go długości na południe od
Strasburga. I armia przy-
gotowuje się do wkroczenia
na teren Rzeszy. W jej szere-
gach walczą teraz przedsta-
wicieli całej wyzwolonej
Francji z maqui'ardami i
Alzackimi na czele.

Czteroletnia tułaczka i wal-
ka Francuzów na obcych zie-
miach jest zakończona.
Opracowała
IRENA ZUCHOWICZ

POLONICA

INDEX TRANSLATIONUM — CZYLI INDEKS PRZEKŁADÓW

Wydawnictwo bibliogra-
ficzne o zasięgu międzynarodo-
wym, mało znane poza
krajem bibliotekarzy i biblio-
grafów — specjalistów. Sy-
gnalizuje je w rubryce „Polonica”
gdz. zawiera „Wła-
śnie, co zawiera? Publika-
cja ta ukazuje się od roku
1932 z przerwą w latach 1941-
1947. Początkowo jako kwar-
talnik wydana była przez
Międzynarodowy Instytut
Współpracy Intelektualnej
(1932-1940) a w tzw. Nowej Se-
rii od r. 1948 przez UNESCO.

Materiały do publikacji
nadsyłają biblioteki narodowe
lub krajowe centra bibliogra-
ficzne poszczególnych państw.
Z tego względu należy uznać
Indeks za oficjalną publika-
cję o charakterze międzynaro-
dowym na polu wymiany
myśli naukowej i literackiej.
Przedmiotem publikacji są
wszystkie tłumaczenia do-
konywane z jednego języka
na drugi. Tłumaczenia obej-
mują tylko druki zwarte (po-
pularnie określane jako
książki). Pod hasłem Polonica
znajdziemy zatem wszyst-
kie publikacje w języku
polskim, które zostały prze-
łożone z jakiegokolwiek
języka obcego. Przekłady
polskich publikacji na języki
obce są z kolei rozrzucone
wśród tych państw, które
swemu narodowemu piśmienn-
ictwu przyswoiły polską
książkę. Każdy rocznik za-
wiera ponadto indeks alfa-
betyczny autorów. Za jego
pośrednictwem można do-
trzeć do polskich nazwisk i
dalej do konkretnych tłuma-
czeń. Ta kolosalna praca wy-
maga jednak czasu i stwa-
rza poważne trudności dla
kronikarza, który usiłuje na
bieżąco informować czyteln-
ników o ekspansji polskiej
myśli poza granicami kraju.
Indeks za rok 1960 ukazał
się w roku 1962 i jest, o ile
się nie myli, do chwili obec-
nej ostatnim rocznikiem. Ze
względów na źródłowy cha-
rakter publikacji należy być
wyszczególnieniem dla wyda-
wcy. Jest to materiał na któ-
rym wspierają się i będą
w przyszłości wspierać wszel-
kie opracowania szczegóło-

we i publikacje o charakte-
rze pochodnym. Spróbujmy
ten źródłowy charakter wy-
korzystać na gorąco i odpo-
wiédzmy na pytanie, jakie
książki Jarosława Iwaszkiewi-
czewa zostały przetłumaczo-
ne na języki obce w latach
1948-1960? W 1948 „Młyn nad
Lutynią” po serbsku, 1949
„Ody olimpijskie” po fran-
cusku. W Jugosławii znów
dwa tytuły: „Chopin” i „Sta-
ra cegielnia”. W języku ro-
syjskim „Chopin”. W 1951
roku wychodzi po słoweńsku
„Młyn nad Lutynią” i „Stara
cegelnia”. „Czerwone tarcze”
po niemiecku w roku 1955 i w
tymże roku krajowe wydanie
„Lato w Nohant” po francu-
sku. Znane z polskich prze-
kładów wydawnictwo Langen-
Müller wydaje po niemiecku
w roku 1956 „Panny z Wilka”.
Czesi tłumaczą „Chopina” w
roku 1957. Rok 1958 przynosi
niemieckie tłumaczenie „Kon-
gresu we Florencji”, a już w
następnym tytule tytuł ukazu-
je się w Belgii i Holandii.
Wyżej wymieniony Langen-
Müller wydaje po niemiecku
„Wzlot”. Także w roku 1959
Francuzi tłumaczą „Matkę Jo-
annę od Aniołów”. Rok 1960
rejestruje przekłady opowia-
dań Iwaszkiewiczów na języki:
rosyjski, czeski i estoński.

Zgromadzone za sprawą tru-
du setek bibliotekarzy na ca-
łym świecie materiały biblio-
graficzne (dotychczas nadsyła-
do UNESCO materiały prze-
ciennie 50 państw, w roku
1960-58 państw) ukazują tak-
że stopień natężenia wydawni-
cznego przekładów w co-
szczęgólnych państwach. Temu
celowi służą specjalne zesta-
wienia statystyczne według
państw umieszczone na kon-
cu Indeksu. Dla przykładu
podam 5 państw, które legiti-
mują się największą liczbą
przekładów w roku 1960.
ZSRR — 5.507, Niemcy (oba
państwa rejestrowane są raz-
em) 2.859, Czechosłowacja
1.548, Włochy 1.513, Francja
1.426. Polska legitymuje się
803 przekładami i jest wy-
przedzana przez Hiszpanię,
USA, Holandię, Szwecję, które
posiadają powyżej tysiąca
przekładów.

Skoro czytelników „Polonica”
skłonił kiedyś potrzeba
odwiedzenia Biblioteki Uni-
wersyteckiej radzę poświęcić
Indeksowi trochę uwagi. War-
to — gdyż jest to lektura re-
jestrująca dążenie ludzkości
do jedności kultury i zbliże-
nia między narodami.

M. K.



Cheesz wojny — głosuj na Goldwatera

W. ŚLAWSKI

Konfrontacja marzeń

Dalszy ciąg ze str. 1

pięć do technikum został spowodowany faktem, że młodzież ta znalazła się w szkole przyzakładowej tylko dlatego, że po prostu nie znalazła miejsca w zasadniczej szkole zawodowej.

GDZIE SIĘ CHCĄ UCZYĆ

Większość badanych uczniów pochodziła ze szkół podstawowych, poznajmy więc najpierw ich plany dalszej nauki. Zwolennicy dalszej nauki w liceach ogólnokształcących znajdują się w zdecydowanej mniejszości (20%), wśród reszty młodzieży panuje praktycyzm na chęć zdobycia konkretnego zawodu w zasadniczych szkołach zawodowych i technikum, przy czym te ostatnie są znacznie bardziej popularne (32,5%). Wybór kierunku dalszej nauki jest oczywiście, podyktowany możliwościami, a więc profilem szkolnictwa zawodowego w Tomaszowie Mazowieckim. Na pierwszym miejscu uplasowało się tutaj technikum mechaniczne, później ekonomiczne, chemiczne, rolne, włókiennicze oraz budowlane.

Ta grupa młodzieży ze szkół podstawowych, która pragnie rozpocząć naukę w szkole zasadniczej zawodowej, składa się przeważnie z chłopców pochodzących ze wsi. Chcą oni jak najszybciej rozpocząć pracę zawodową, stąd przede wszystkim wybierają szkołę chemiczną, która stwarza perspektywę pracy w największym zakładzie Tomaszowa Mazowieckiego — w Tomaszowskich Zakładach Włókien Sztucznych.

Zdecydowaną z kolei większość zwolenników dalszej nauki w liceach ogólnokształcących stanowią dziewczęta (74%) marzące o znalezieniu w przyszłości pracy biurowej. Na podkreślenie zasługuje jednak fakt, że w trakcie nauki w liceum ogólnokształcącym plany te ulegają zmianie, stają się bardziej ambitne. Wśród bowiem badanych uczniów kończących szkoły ogólnokształcące aż 64,5% pragnie podjąć studia w szkołach wyższych. Może się jedynie wydawać dziwnym, że uczniowie miasta przemysłowego, jakim jest Tomaszów Mazowiecki, w 27,5% chcą studiować na uniwersytecie kierunku humanistycznego, w 26,6% — przyrodniczego i jedynie w 29,9% na politechnice.

KIM CHCĄ ZOSTAĆ

Oczywiście, w odpowiedziach ankietowych młodzieży rejonu Tomaszowa Mazowieckiego można się spotkać z całą mozaiką przeróżnych zawodów, które uczniowie preferują: od fizyka jądrowego czy muzyka do marynarza i dziennikarza. W zasadzie jednak większość uczestników ankiety wybiera zawody grupy mechanicznej, włókienniczej, chemicznej, ekonomicznej, odzieżowej, zawody służby zdrowia, pracowników administracyjno-biurowych i wreszcie zawod

nauczycielski. 17% badanych chłopców pragnie wstąpić do szkół oficerskich.

Pęd do szkół mechanicznych, popularność zawodu ślusarza, frezotokarza, jest zjawiskiem ogólnopolskim, wypływa ze znanego faktu faworyzowania przez chłopców zawodów politechnicznych. W Tomaszowie Mazowieckim, w którym dominuje jednak przemysł włókienniczy, chemiczny i odzieżowy, fakt, że ponad 20% uczniów kończących szkoły wybiera zawody mechaniczne wymaga jednak skomentowania.

Wydaje się, że obserwujemy w Tomaszowie Mazowieckim coś w rodzaju przerwania się tradycji rodzinnej, przykazującej dotychczas, by zawód przechodził z ojca na syna. Potwierdzałyby to dalsze badania nad motywami wyboru zawodu, gdyż jedynie 5,2% uczestników ankiety odpowiedziało, że „zawód ten wykonuje ojciec” i 5,9% — że „z porady rodziców”. Motywem, który podało najwięcej badanych uczniów, bo aż 57%, są własne zainteresowania, ale oczywiście musimy tu wziąć poprawkę, że w tego rodzaju ankietach jej uczestnicy lubią się prezentować w charakterze ludzi samodzielnych i świadomych swej decyzji. Inne odpowiedzi pozwalają poznać różnorodne motywy, którymi kierowała się młodzież tomaszowska przy wyborze zawodu. I tak 11,1% uczestników ankiety odpowiedziało się za „zawodem, którego łatwo i szybko można się wyuczyć”, 8,3% za takim, który daje możliwość wysokich zarobków i wreszcie 7,7%, który zapewnia lekką pracę. Spotykamy się więc tutaj z takimi zawodami, jak sprzedawcy, fryzjera, pielęgniarki, nauczyciela oraz pracowników biurowych. Za tymi zawodami opowiedziało się 39% badanych dziewcząt.

PO PÓŁ ROKU

Otrzymując takie wyniki ankiety zdawaliśmy sobie sprawę, że nie wszystkie pragnienia będą zrealizowane. Odrzucając nawet czynniki subiektywne, pozostawało dość obiektywnych, by oczekiwać pesymistycznych wyników. Po pół roku bowiem wśród tej samej młodzieży przeprowadziliśmy badania kontrolne, które miały na celu wykazać w jakim stopniu życzenia młodzieży spełniły się.

Do pesymizmu skłaniał fakt, że rejon Tomaszowa Mazowieckiego należy do nielicznych w Polsce, które posiadają stałe nadwyżki siły roboczej, o pracę trudno zwrócić dla kobiet, poza tym szkolnictwo Tomaszowa Mazowieckiego dysponuje zbyt szczerbą ilością miejsc, by zapewnić dostęp do szkoły tym wszystkim, którzy pragną kontynuować naukę po szkole podstawowej. Dla ilustracji tego faktu można podać, że 116 uczestników naszej ankiety wyraziło chęć kształcenia się w technikum mechanicznym, które dysponuje jedynie 40 wolnymi miejscami.

Stąd właśnie wyniki powtórných badań stanowiły swego rodzaju przyjemne zaskoczenie i przekonują, że w specyficznym rejonie, jakim jest niewątpliwie Tomaszów Mazowiecki, młodzież posiada pełne możliwości startu zawodowego.

Najogólniej mówiąc, aż 73% badanej młodzieży zrealizowało w tak krótkim czasie swoje dążenia. Największy odsetek tych, którym się powiodło, znajdujemy wśród uczestników ankiety, którzy chcieli się uczyć, a więc w grupie, ze względu na swoją wielkość, zasadniczej w naszych badaniach. 83% członków tej grupy uczy się nadal w szkołach różnego typu. Z tych, którzy chcieli się uczyć jedynie 5,1% musiało przystąpić do pracy oraz 11,7% pozostało w domu.

Ciekawe jest ustalenie przyczyn, dla których reszcie „tych chętnych do nauki” nie udało się zrealizować swoich planów. Otóż, jak można się było spodziewać, ponad połowa nie mogła podjąć nauki z powodu braku miejsc w szkole, 18,8% tej młodzieży nie zdało egzaminu, a jedynie 6,5% badanych w tej grupie powołuje się na trudne warunki materialne, które zmusiły ją do rezygnacji z kontynuowania nauki. Przypomnijmy, że znaczna część uczniów szkół przyzakładowych deklaruwała chęć dalszej nauki, pragnąc pogodzić pracę zawodową ze szkołą wieczorową, niestety, w wielu wypadkach okazało się „te życzenia jedynie „pobożnymi”.

Śledząc stopień realizacji życzeń młodzieży według typów poszczególnych szkół, uwagę zwraca niezwykle stosunkowo wysoki procent absolwentów średnich szkół ogólnokształcących, którym udało się dostać na wyższe studia. 62% tej młodzieży zrealizowało swoje marzenia wyższych studiów.

Uczniom szkół podstawowych miejskich powiodło się w 74,3%, uczniom szkół wiejskich trochę już gorzej, bo w 64%. Najgorzej wyglądała realizacja życzeń młodzieży ze szkół przyzakładowych (44,4%) i zasadniczych szkół zawodowych (38,8%). Niski procent realizacji swych marzeń dalszych studiów wykazują absolwenci liceów pedagogicznych, należy się jednak spodziewać, że ta grupa po „zagospodarowaniu się” na nowej placówce szkolnej podejmie studia zaoczne.

Uczniom zasadniczych szkół zawodowych łatwiej było realizować swoje plany związane z dalszą nauką niż z natychmiastowym podjęciem pracy. Łączy się ta sprawa z generalnym problemem naszych badań, które wskazują, że z tych, którzy chcieli podjąć natychmiast pracę, tylko 51,7% udało się zrealizować ten zamiar. W domu pozostało jednak z tej grupy jedynie



34,5%, bo reszta gdy nie dostała pracy, wstąpiła do szkoły. Fakt pozostaje jednak faktem, że 1/3 tej młodzieży, która chciała przystąpić do pracy, nie znalazła zatrudnienia z powodu braku wolnych miejsc pracy.

Charakterystyczne natomiast, że prawie w pełni spełnią się marzenia młodzieży dotyczące nauki wybranych zawodów. Co więcej, potwierdziły się tendencje kierujące preferencją przez uczniów tomaszowskich poszczególnych zawodów. I tak jeśli na przykład 22,1% młodzieży opowiadało się za nauką w szkołach mechanicznych, to w kon-

sekwencji 23,1% młodzieży znalazło się w szkołach tego typu. Natomiast przy wyborze zawodu włókienniczego czy też odzieżowego sporo kandydatów rozmyśliło się i w konsekwencji odpowiednio procenty spadły.

Omawiane badania Instytutu Pracy w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego są częścią opracowywanej monografii tego obszaru. Produktem ubocznym tych badań jest przełożenie na język cyfr i faktów hasła, że socjalizm dał wszystkim równe szanse życiowe.

HALINA PACESNA

ŁÓDZKIE XX-LECIE

RADOGOSZCZ

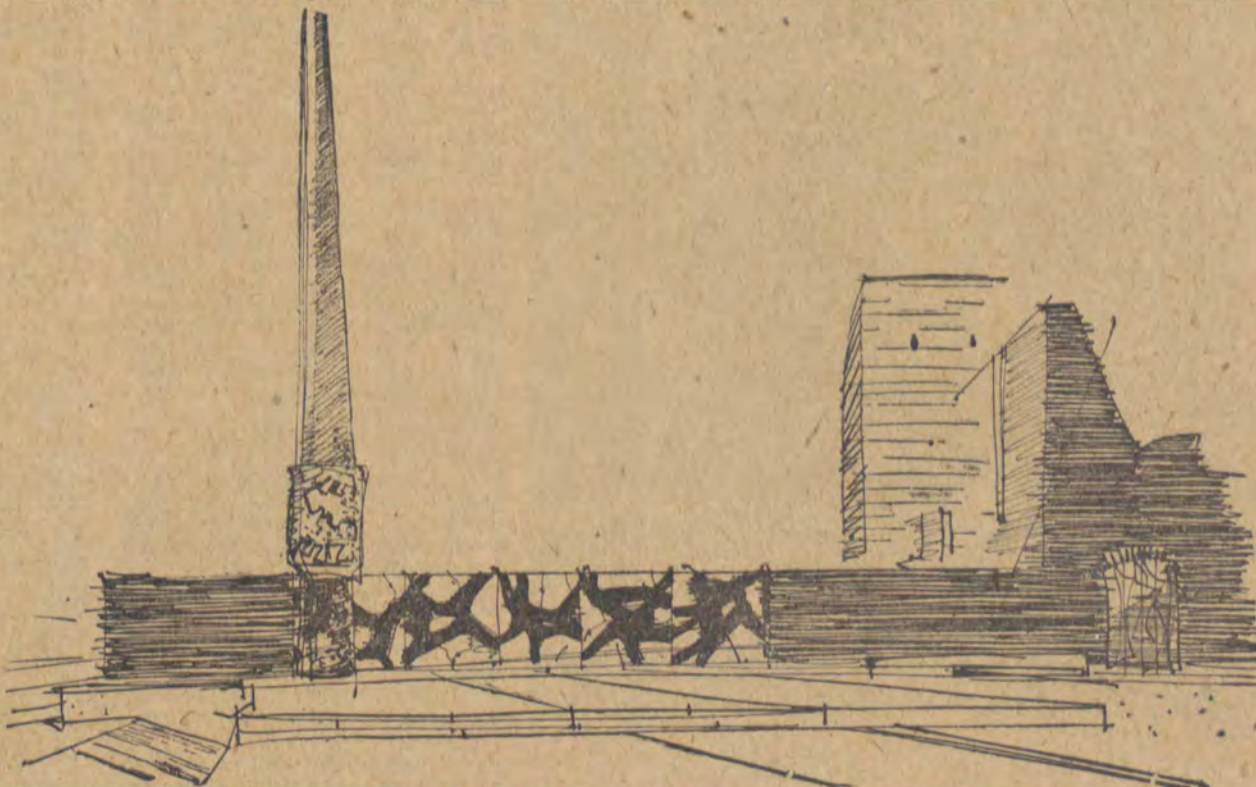
MYŚL: Setki Polaków zginęły w Radogoszczu u progu wyzwolenia. Myśl o ich męczeńskiej śmierci zrodziła pomysł tego monumentalnego pomnika-mauzoleum. Pomysł zrealizowano w latach 1959-61.

DANE: Powierzchnia terenu mauzoleum — 7 tys. 82 m². W układ zespołu wchodzi: resztki murów, płyta nagrobna oraz betonowy obelisk powleczony warstwą epoksydową. Wysokość obelisku — 32 metry.

PROJEKTANT: Projektanci inż. Tadeusz Herbut, oraz mgr inż. arch. Wacław Bald. Projekt obelisku — art. rzeźbiarz — Tadeusz Łodziński. Piaskorzeźby i prześwity na murach okalających — Zygmunt Moczyński i Mieczysław Szadkowski.

KOSZT: 7 milionów 542 tysiące złotych. Pomnik-mauzoleum w Radogoszczu zbudowano całkowicie z funduszy SFOS.

Rys. mgr inż. arch. Wacław Bald.



TERENY województwa łódzkiego w wypadku wojny z Niemcami nabrały szczególnego znaczenia strategicznego. Tędy biegły bowiem najkrótsze połączenia od granicy niemieckiej ku Warszawie przez Radomsko i Piotrków, a równocześnie terytorium niemieckie wchodziło klinem w polski obszar państwowy koło Wieruszowa - Praszki-Krzepic, tworząc wygodną przedmoście wypadowe. Należało się więc spodziewać, że poprzez wzmiankowane ziemie nastąpi główne uderzenie wojsk hitlerowskich.

I rzeczywiście, w czasie krótkotrwałej kampanii wrześniowej w województwie łódzkim walczyły aż 4 armie („Łódź”, „Prusy”, „Pomorze”, „Poznań”) na 7, które wystawiła do boju przedwrześniowa Polska. Nie wyprzedzamy jednakże wypadków.

Marcowy rozbiór Czechosłowacji i przedstawienie przez Ribbentropa żądań ambasadorowi RP w Berlinie (zgoda na aneksję Gdańska i eksterytorialne linie komunikacyjne przez tzw. „Korytarz”) sygnalizowały, że Polska stanie się kolejnym obiektem żądrości niemieckiej. Zostały więc wydane dożne zarządzenia o charakterze obronnym, jak domobilizowanie kilku dywizji piechoty i przeniesienie ich nad granicę zachodnią, zwiększenie stanów w Korpusie Ochrony Pogranicza i przeniesienie pewnej liczby batalionów i szwadronów KOP na pogranicze z Niemcami i pseudo-niepodległą Słowacją.

23 marca marszałek Rydz-Smigły wezwał na odprawę generałów przewidzianych na dowódców armii i po zreferowaniu ogólnej sytuacji militarnej, wręczył im wytyczne co do zadań i sił każdego ze zgrupowań. Dowódcą armii „Łódź” został jeden z inspektorów wojska gen. dyw. Juliusz Rómmel.

Do zadań armii „Łódź” należało:

- a) „osłonić kierunki Łódź i Piotrków i bezwzględnie utrzymać te miasta”;
- b) „przeciwstawić się obronnie w terenie pogranicznym i zorganizować linię głównego oporu wzdłuż Warty i Widawki”;
- c) „utrzymywać łączność z sąsiedziami tzn. od południa z armią „Kraków”, od północy z armią „Poznań”.

Dla wykonania tych zaleceń dowódcą armii „Łódź” miał otrzymać 3 dywizji piechoty (9, 10, 28, 30), 2 brygady kawalerii oraz niewielkie jednostki samodzielne.

Sily były więc więcej niż niedostateczne dla wykonania zadań ciążących na armii.

Po utworzeniu sztabu gen. Rómmel przystąpił do studiów terenowych oraz opracowywania planu działań. W ciągu lata wielokrotnie prosił on Smigłego o zwiększenie liczby oddziałów, gdyż naprzeciw armii „Łódź” w rejonie Namysłowa-Kluczborka-Oleśna Niemcy mieli skoncentrowane 8-10 wielkich jednostek, które przypuszczalnie miały działać przeciwko wojskom Rómmela.

Jednakże składu armii nie tylko że nie wzmocniono, ale odebrano 1 dywizję, konieczną dla osłony od strony Słowacji. Tyle, że armia

„Prusy”, stanowiąca odwód naczelnego wodza miała w razie konieczności wesprzeć obronę Piotrkowa i Łodzi.

W ciągu lata wznoszono prowizoryczne umocnienia polowe oraz betonowe stanowiska dla ckm i artylerii. Lecz kiedy nadszedł kryzys sierpniowy, armia była daleka od stanu gotowości bojowej. Na miejscu znajdowały się tylko 10 i 30 dywizje; Wołyńska Brygada Kawalerii przerzucono, pospiesznie dopiero w drugiej połowie sierpnia, podobnie jak i 28 dywizję. Już w trakcie działań przybyły: 2 dywizja piechoty oraz Kresowa Brygada Kawalerii. Mniejsze jednostki przydzielone znajdowały się na obszarze armii.

24 sierpnia gorączka mobilizacyjna ogarnęła większą część Polski. Rezerwicy stawali się punktualnie, a wola walki była powszechna. Gen. Rómmel kierował do Warszawy zapytanie za zapytaniem, kiedy przybędą obiecane jednostki, a w międzyczasie opracował kolejny wariant rozegrania walki.

Obszar działania armii podzielił on na trzy pasy, których obronę powierzył 10, 28 i 30 dywizjom piechoty. Na skrzydłach ugrupowania umieścił po brygadzie kawalerii (jedna była jeszcze w trakcie mobilizacji). Główną linię oporu miał stanowić wschodni brzeg Warty i Widawki, lecz na przedpolu zamierzał Rómmel wysunąć znaczne siły w celu opóźnienia posuwania się wroga. Przyjęty plan stanowił schemat jakże często stosowany w trakcie I wojny światowej.

Dopiero 30 sierpnia jednostki armii „Łódź” rozpoczęły przegrupowywanie się w celu zajęcia wyznaczonych stanowisk. Wymagało to

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Na tropach łódzkiego września (II)

ARMIA ŁÓDŹ

forsownych marszów, a skutkiem tego żołnierze dochodząc do wyznaczonych rejonów byli w stanie daleko posuniętego zmęczenia. Stan wojska wywoływał niepokój wśród ludności cywilnej.

Na drogach krzyżowały się dwie fale — wojsko zmierzające ku granicy, ludność cywilną zaś ewakuowano pospiesznie ze strefy nadgranicznej o szerokości 10-15 km. 31 sierpnia jednostki armii „Łódź” meldowały o zajmowaniu wyznaczonych stanowisk.

ARMIA „ŁÓDŹ” WALCZY

LOTNICTWO niemieckie pierwsze dokonało agresji na obszar Polski. Po nim rozpoczęły działania jednostki wojsk lądowych. Przeciwko armii „Łódź” wystąpiły: 8 armia gen. Blaskowitza (4 dywizje ezolowe i jedna w odwodzie) oraz lewe skrzydło 10 armii gen. Reichenau'a (2 dywizje piechoty, 2 dywizje pancerne, 1 dywizja lekka i 2 dywizje zmotoryzowane w odwodzie).

Niemcy działali według szablonu polegającego na wysyłaniu silnego rozpoznania, które ustalało rozlokowanie sił polskich i wykrywało styki pomiędzy jednostkami. Na podstawie informacji rozpoznania następowało bądź silne uderzenie piechoty wspieranej przez czołgi i artylerię w „słabe miejsca” polskiego ugrupowania, bądź jednostki zmotoryzowane poprzez styki polskie próbowały dokonać okrążenia.

W ciągu dnia 1 września polskie oddziały wysunięte cofnęły się w walce nie dając się ani rozbić, ani okrążyć. Natomiast Wołyńska Brygada Kawalerii rozłożona na południowym skrzydłach armii „Łódź” stoczyła koło wsi Mokre zwycięską bitwę z czołgami.

Niemcy, widząc że mają do czynienia tylko z kawalerią, postanowili rozproszyć polskie zgrupowanie. Czołgi przejechały przez stanowiska 21 pułku ułanów i wyszły na równinę wprost na baterie 2 dywizjonu artylerii konnej. Celnym ogniem zmusił Niemców do wycofania się. Dwukrotnie wznowiali oni natarcia z tymże skutkiem tracąc około 100 czołgów i pojazdów różnego rodzaju. Walkę spieszonych kawalerzystów wspierały dwa pościgi pancerne.



Wjazd Führera do Łodzi: wyludniony pl. Wolności, pusta ul. Piotrkowska. Gdzie są wzywające tłumy?

gady Kawalerii na północnym skrzydle polskiego ugrupowania nie przyniosła zmiany położenia. 4 września oba skrzydła armii były poważnie zagrożone, a 4 dywizja pancerna wroga opuściła Radomsko i zbliżyła się do Borowej Góry. Na Warcie i Widawce Niemcy utworzyli przyczółki wypadowe.

Rómmel mieszcząca się w pałacyku Heinza na Julianowie. W wyniku nalotu powstała decyzja natychmiastowego opuszczenia Łodzi i przeniesienia się do Mszczonowa.

Podobno na Julianowie zostawiono posterunek żandarmerii, który miał informować o nowym miejscu postoju dowództwa. Lecz faktem jest, że ani gen. Thommée, ani inni dowódcy nie mogli uzyskać informacji, gdzie znajduje się gen. Rómmel i jego sztab. Praktycznie więc dowodzenie armią „Łódź” przez gen. Rómmela skończyło się z chwilą jego wyjazdu do Mszczonowa a następnie do Grzegorzewic i Warszawy.

6 września została rozbita 13 dywizja piechoty w rejonie Ujazdu — Tomaszowa Mazowieckiego. W czasie nocnego odwrotu przez Tomaszów oddziały polskie zostały ostrzelane z okien i zabudowań przez niemieckich dywersantów. Również w pobliżu Nowosolnej oraz Andrzejowa ujawniła się niemiecka V kolumna dokonując napaści na mniejsze oddziały wojska polskiego.

Zorganizowany opór armii „Łódź” trwał 5 dni. 4 dywizje piechoty oraz 2 brygady kawalerii pozbawione osłony przed lotnictwem wroga przeciwstawiły się 8-9 wielkim jednostkom niemieckim. Natomiast armia „Prusy”, fatalnie nadodzona przez gen. Dęba-Biernackiego, który rzucił do walki pojedyncze pułki, a nawet bataliony przestała istnieć po 36 godzinach boju. Niedobitki i drobne oddziały z armii „Prusy” przedzierały się ku Wiśle. Niemiecka 4 dywizja pancerna, a w ślad za nią i jednostki i dywizji pancernie skierowały się przez Tomaszów na Rawę Mazowiecką i Warszawę.

7 września nad wycofującymi się oddziałami armii „Łódź” samodzielnie objął dowództwo gen. Thommée. Determinacja dowódcy udzieliła się podkomendnym, a to umożliwiło grupie składającej się z różnych jednostek i rozbitków przedarcie się przez Żyrardów, Brwinów, częściowo do Modlina a częściowo do Warszawy.

W sytuacji kiedy resztki armii „Łódź” i armii „Prusy” opuszczały w walce tereny naszego województwa, od północnego zachodu zaczynały napływać jednostki z armii „Poznań”, która nie doświadczyła dotychczas siły niemieckiego uderzenia, a równocześnie pragnęła zmierzyć się z wrogiem. Powstała sytuacja do skrzydłowego uderzenia na kolumny niemieckie ciągnące ku Warszawie. Zaczynał się wyłaniać plan bitwy nad Brzurą.

* Gen. J. Rómmel opublikował w 1938 r. pamiętniki („Za honor i ojczyznę”), w których sugeruje, że przewidział z „fotograficzną dokładnością” przebieg walk. Sprostowanie nieścisłości i zafałszowań podanych przez generała znajduje się w pracy J. Kirchmayera pt. „Na marginesie wspomnień dowódcy armii „Łódź”, Warszawa 1959.



WACŁAW BILIŃSKI

„Chwała” WEHRMACHTU



Dalszy ciąg ze str. 1

Jakby upokorzony: ledwie 25 lat, a wszystko zapadło w niepamięć. Jakże ta-
nia jest polska krew, jak nisko w tym
kraju ceni się życie oddane za ojczyznę.
Nie ma pomników we wsi Orla. Nie zna-
my nawet miejsca, w które wsiątkła krew
tych, którzy na pomniki zasłużyli.

Chcę więc wracać, lecz właśnie wtedy
wiejski chłopak wskazuje mi rżysko, na
którym po 25 latach znać jeszcze martwo
zabliźnione miejsce: ziemia wypalona nie-
gdyś na żużel, po dziś dzień nie chce ro-
dzic. Tu spłonęły niemieckie czołgi — mó-
wi chłopak, tu spaliły się tanki, potwier-
dza stary człowiek, który dotąd milczał.
Spaliły się, bo nasi je podbili. Rozglądam
się: więc to jest miejsce, którego szuka-
łem: skrzyżowanie dróg, ślad chaty i bliz-
ny na rżysku. Tu spaliły się czołgi tra-
fione ze zdobycznego działka. Jest więc
ślad, przetrwał, przechowała go wierna
ziemia.

2. WIEŚ KOWALEWICE

Zostawił wrzesień na tej ziemi ślady
— zostawił i pomniki. Wieś Orla ledwie o
kilometr, i teraz piaszczysty trakt bie-
gnie wzdłuż pól wsi Kowalewice, obok
starej szopy ocienionej rozłożystym, obrzy-
tym drzewem. A za nim biały, naiwny
pomnik, dzieło wiejskiego kamieniarza.
Zatrzymujemy wóz i czytamy prostą in-
skrypcję: „Ofiarom faszyzmu zamordowa-
nym 11 września 1939 roku” — i długi re-
jestr nazwisk. Jest ich dwadzieścia sześć.
Zza furtki, po drugiej stronie drogi, pa-
trzy na nas wyblakłymi oczami stara ko-
bieta. Minęło ćwierć wieku, ale nasze py-
tanie o 11 września 1939 roku sprawia, że
zaczyna nagle płakać: to żalony, starczy
płacz, płacz człowieka, który nie może
zapomnieć: Franciszka Sobczak mówi nam:
„Wszystkich mężczyzn wtedy zastrzelili,
wszystkich, mego brata, szwagra i sąsia-
dów. Jak weszło niemieckie wojsko, zaraz



kogo tylko złapali, strzelali tu, na dro-
dze. I za nic, przecież nikt tu na nich
nawet ręki nie podniósł”.

Było to rankiem 11 września. Wehrmacht
przełamał wreszcie zaciętą polską obronę
i wkroczył od wsi Orla. I brał odwet.
Nad przydrożnym rowem, od strzału w
potylicę, ginęli chłopci, naiwni, ubogi pom-
nik wlicza ich nazwiska: Bartczak, Sob-
czak, Janiak, Sek — i tyle innych.

3. MIASTECZKO PIĄTEK

Wracamy przez Piątek, i u wjazdu do
miasteczka, tuż za mostem spostrzegamy
zbiorową mogiłę. Zaów czytamy lakoni-
czny napis: „Tu zginęło 44 Polaków”.
Był wówczas 14 września, bitwa nad Bzu-
rą już się zakończyła, jakąż to przyczyna
spowodowała śmierć tych ludzi w parę

dni po przejściu frontu? Co się wówczas
zdarzyło w Piątku?

Szukamy świadków nocy, ale oko-
lice mostu były wówczas wyludnione,
mieszkańcy stąd uciekli i nikt nie zna
dokładnego przebiegu dramatu. Więc tyl-
ko z urywkowych relacji możemy go od-
tworzyć. Na pomniku nagrobnym nie ma
żadnych nazwisk — i ludzie w Piątku
nazwisk też już nie pamiętają. Trafiamy
jednak na ślad, bo oto w kronice para-
fialnej prowadzonej przez organistę znaj-
dujemy taką oto notatkę:

„Dnia 14 września 1939 roku 44 mę-
czyzn pracowało przy naprawie mostu w
Piątku przy ul. Łowickiej. Pod wieczór
wszyscy zostali rozstrzelani. Z tej liczby
było 7 Żydów z Piątku, a z terenu para-
fii następujący: Jaroszewski Władysław,
wdowiec, lat 35, syn Michała i Feliksy,

OFIAROM FASZYZMU
HITLEROWSKIEGO
ZAMORDOWANYM 11.9.1939

BARTCZAK J.	SER J.	HONCZAREK E.
KOCIAK A.	JANIAK I.	KOPROWSKI J.
KOCIAK S.	JANIAK A.	STEGLIŃSKI J.
MICHAŁAK A.	JANIAK F.	SOB CZAR J.
MICHAŁAK S.	JANIAK J.	WRZEŃSKI S.
MICHAŁAK F.	GRANOSIŃ S.	BANASIAK J.
GIERAGA F.	STRASIAK J.	STANCZAK M.
SER F.	STANCZAK F.	FRATCZAK H.
SER J.	STANCZAK F.	FRATCZAK H.

LIŚCIEKI J.

Stawiński Stefan ze wsi Bielice, żonaty,
lat 36, Poltowicz Józef, żonaty, ur. 1910,
syn Szezepana...”

Długa litania chłopów z okolicznych wsi
i „obywateli” z Piątku. Spędzono ich tu,
a gdy most już stanął i poszły nim na
Warszawę kolumny Wehrmachtu, tych 44
mężczyzn niemieccy saperzy wyprowa-
dzili na łąkę, by nad podeszłym wodą
lejem po bombie zabić strzałem w poty-
licę. Ciała padały w wodę, ludzie z mi-
asteczka wylali je przez wiele następ-
nych dni.

14 września 1939 roku rządziło Piątkiem
niemieckie prawo wojenne. Jakis oficer
— wyobraźmy sobie tego nienagannie ele-
ganckiego i zapewne wykształconego ofi-
cera — wydawał rozkazy, a jego żołnierze
wypełniali je skwapliwie. Zabijano bez
sądu, bez przyczyny. Później nazwano ta-
ki strzał w potylicę „polskim wyrokiem”.
Kto wie może ów oficer z Piątku żyje?
Może to jeden z tych niemieckich żołnie-
rzy, o których niedawno pewien zachod-
ni mąż stanu powiedział, że są „wieroi do
ostatka i rycerscy do ostatka”.

Szukając śladów września wszędzie spo-
tykamy także właśnie pomniki chwały
Wehrmachtu. Bo wszędzie też wokół, we
wsiach i miasteczkach na całej drodze
przemarszu zwycięskiej armii niemieckiej
— tak właśnie się działo. We wsiach pod
Piątkiem — wsiach granatów do szopy,
do której spędzono ludność. W Łęczycy —
z progu piwnicy seria automatów w tłum
kobiet i dzieci. A mężczyźni pod mur. I
strzał w potylicę. Hej jest takich miejsc ka-
żni na naszych ziemiach?

Na Zachodzie twierdzą, że my, Polacy,
zapiekliśmy się w nienawiści. Ze nie
chcemy zrewidować swych poglądów. Ze
wyołbrzymiamy groźbę niemieckiego mili-
taryzmu. Ze przesadzamy.

Ale my, Polacy, nie przesadzamy: my
tylko — PAMIĘTAMY.

Pomniki martyrologii rozsiane po na-
szej ziemi nie pozwalają nam ZAPOM-
NIEĆ!



Zdjęcia z archiwum Wehrmachtu

LISTY do REDAKCJI

„W roku 1939 mieszkaliśmy
w gminie Radogoszcz nie-
daleko spalonej po wojnie
fabryki tuż przed cmenta-
rzem niemieckim. Mąż mój
pracował w gminie jako po-
mocnik sekretarza. Sekretar-
zem był pan Roman, imie-
nia nie pamiętam. Cała
prawie gmina w wieksości
rekrutowała się z Niem-
ców. Mieszkali tam od wie-
lu lat zajmując się handlem,
rolnictwem i byli zapalo-
nymi myśliwymi. Polowa-
nia te, jak się później oka-
zało, nie były tylko dla roz-
rywki. Na polowaniach od-
bywały się zebrania i cwi-
czenia w strzelaniu. Akcja
szpiegowska rozwinięta wzo-
rowo. Niestety, za późno
dowiedzieliśmy się o tym.
Wybuchła wojna — pa-
miętny wrzesień 1939 roku.
O godz. 5 rano męża zbu-
dzili i natychmiast pierw-
szą czynością pracowników
gminy, stało się rozsyłanie
wezwań jednym i składa-
nie wizyt drugim, i odbiera-
nie wszelkiej broni, amuni-
cji oraz aparatów radio-
wych. Było tego bardzo du-
żo, znaleziono także dużo in-
nej broni poza strzelbami
myśliwskimi. Znalazł się na-
wet karabin maszynowy, 3
radiostacje i wiele aparatów
podsluchowych. Jeden apa-

rat radiowy wyglądał jak
wielki globus w środku
oświetlony i zapalały się
poszczególne miastka. Nigdy
czegoś podobnego nie wi-
działam, ani przedtem ani
teraz. Do czego to służyło
nie wiem, zbyt mało było
na to czasu, żeby spraw-
dzić. Układaliśmy to wszyst-
ko, segregując. Niemcy byli
wściekli i wyraźnie grozili.
Wzrostki niemieckie jeszcze
przed wojną opowiadali, że
przyjdzie Hitler i naszymi
głowami będzie ulice bruko-
wał. Kilka dni trwała ta
nagonka i wciąż napływa-
ły do gminy bądź dobrowol-
nie oddane, bądź odebrane
siła całe składy amunicji i
broni. Dlaczego mówię, że
organizacja szpiegowska do-
brze działała. Kiedy wy-
buchła wojna w parku Ju-
lianowskim o kilkadziesiąt
metrów od gminy mieścił się
główny sztab. Dobrze trzeba
było uważać i rozstawiać
warty, bo Niemcy wchodzili
na dachy i dawali samo-
lotom rozmaite zadki. Bom-
by leciały gęsto, dlatego nas
to utwierdziło, że szpieg
działał. Niestety, było zbyt
późno i choć obroniłmy
sztab jednak musieliśmy ucie-
kać, bo nadchodzili Niemcy.
W nocy z 3 na 4 września
udało nam się wywieźć kil-

ka wozów do Łagiewnik,
przede wszystkim broni pa-
lnej i amunicji. W Łagiew-
nikach ulokowaliśmy to
wszystko w niedokończonym
domu. W piwnicy wykopało
się jeszcze jedną piwnicę.
Zabezpieczoną i naoliiwioną
broń schowaliśmy i zainali-
my betonem. Mąż na drugi
dzień zjadł jeszcze wypła-
cić rezerwistki i poszedł bro-
nić Warszawy, sekretarz
Roman ukrył się, lecz na-
daremnie, bo w krótkim
czasie został aresztowany i
rozstrzelany, a rodzina ucie-
kla. Mąż mój po miesiącu
wrócił, ale już nie do Ra-
dogoszczy, tylko powtórnie
pracował w Łagiewnikach.
W Łagiewnikach pracował
przed Radogoszczą, tamtejsi
Niemcy z kolei od Pol-
ków odbierali aparaty ra-
diowe. Poszłam do gminy z
moim własnym aparatem,
żeby go oddać. Niemiec urze-
dował w gminie znajomy z
Łagiewnik, zapytał o męża.
Nogi się pode mną ugięły.
Odpowiedziałam, że poszedł
bronić W-wy, tak jak i
Polaka przystało. Powiedział,
że jeżeli mąż wróci niech
się zgłosi do pracy, bo nie
mają kim obsadzić gminy.
Mąż wrócił i października
i rozpoczął pracę. Był ro-
botnikiem w pobliskiej mie-
czarni. Los tak dziwnie po-
kierował naszym życiem,
że zamieszkałmy w tym
domu, gdzie znajdowała się
broń”.

Z. Krajevska

KAROL JAROSZEWSKI

NASZE ŻYCIĘ POZAGROBOWE

Dalszy ciąg ze str. 1

berze soli" — odpowiadała sąsiadka. I tyle było z rozmowy. Wiesława M. miała wkrótce piękny zapas soli. Przestała wtedy chodzić po sąsiadkach. Zrozumiała, że po przeprowadzeniu do świata z prefabrykatorów, utraciła raj pocieszenia. Architekci, którzy projektowali ten dom pamiętali o miejscu, w którym człowiek może spać i o miejscu, gdzie może zjeść. Zapomnieli jednak o miejscach, w których człowiek może się spotkać z człowiekiem i jego współczuciem. Nie było więc okna wychodzącego na okno sąsiadów, z którego można i na sąsiadkę popatrzeć i porozmawiać z nią o tym co się widziało. Nie było wspólnej wygodki, komunalnej studni na podwórzu, przychody przed domem, kawałek trawnika za domem i wszystkich innych miejsc, gdzie się człowiek może spotkać z człowiekiem.

12 maja 1964 roku o godzinie 22 z minutami Wiesława M. wyszła na schody i zaczęła krzyżeć i jęczeć. Kiedy po wielokrotnym wysileniu strun głosowych udało jej się postawić na nogi klatkę schodową, zebrani posłyszeli jej krzyk: „Ludzie dobiejcie mnie, ludzie dobiejcie mnie i utrzieli, że ciało Wiesławy M. omskło się na schodach”. Ręk karetki pogotowia. Przedsiębiorcy ciasną eskortą bohaterkę dramatu do szpitala, dzieci spędzają trzy dni u sąsiadów. Po trzydziściu Wiesława M. wraca ze szpitala, a jej mąż z podróży. Mąż widzi żonę błądzącą, milczącą, snującą się raczej, niż chodzącą po mieszkaniu — dziwną jakąś. Na stole leży list. Ciągle jeszcze leży. „Kiedy będziesz czytał ten list mnie nie będzie już na tym świecie”.

Wiesława M., która polknęła 20 proszków „Pabialgin”, jest wszakże na tym świecie. Ale świat ten staje się dla niej lepszy. Spójrzmy: mąż po przeczytaniu listu nie zasypia. Sąsiadki bieżą pożyczyc od niej soli. Jeszcze kilka dni chodzi w małej cieniu, która otarła się o śmierć. Już otęla rada zakładowa w mezo-wej bazie samochodowej pomrukuje: „Co się dzieje, M.? Zona się przez was trula! Kobiety wam w głowie zamiast wata korbowego, żony i dzieci!”. Nikt się nigdy nie dowi, czy Wiesława M. lykając „Pabialgin” za całe siedem złotych, widziała się ciałem w trumnie a duszą w hipotetycznym raj, czy też napowróć w domu, tyle, że z wypompowanym żółdkiem. Władomo wszakże, że to co umyśliła zrobić miało być krzywdą nie dla niej, ale dla innych. Mezo-wi i sąsiadkom gotowała piekło wyrzutu sumienia. Zapewne wedle jej zamysłu miało być ono apokaliptyczne.

Pani Wiesława M. zrobiła kroczela w kierunku raj. Zwróciła na siebie uwagę, została zauważona, stała się „tą od nas z kamienicy, która się trula”. Jej mąż w opinii publicznej z dobrogo, który nie pije i nie bije etal się złym „przez którego się trula”. No i wreszcie u meża wzbudziła zainteresowanie sobą i niepokój. Może tylko niepokój o to co z nim zrobią „po linii

związkowej”, a może nawet moralny.

Fakty mówią: na każdym siedem w mieście Łodzi ustalono odcieranie sobie życia — 6 zamachów samobójczych kończy się szczęśliwie, a tylko jeden tragicznie. Kobiety stanowią 61,1 proc. ogółu samobójców, wszakże w grupie kobiet procentowy udział zamachów nieudanych jest znacznie wyższy, niż w grupie mężczyzn. W 51 proc. przypadków samobójczych zamachów powodem są nieporozumienia rodzinne. 60 proc. ogółu osób targających się na swoje życie usiłuje się otruć przy pomocy łatwo dostępnych środków medycznych, przeciwbólowych, żrących i nasennych, które w zasadzie są nieskuteczne i których zażycie w ilościach ogólnie przyjętych przez samobójców, życiu w ogóle nie zagraża.

A więc moralny szantaż? A może udawanie przed samym sobą? Wasz reporter tego nie ustalił. Wasz reporter ustalił tylko, że Wiesława M. napisała list pożegnalny pożyczonym (u sąsiadki) długopisem i że długopis ten zwróciła przy okazji wyjścia do krawcowej, u której zamówiła tego „przedśmiertelnego” popołudnia kretonową, letnią sukienkę.

II. CZYŚCIEC

„Mamo kochana! Wiem, że to będzie dla ciebie cios, ale wybac mi jeżeli potrafisz. Nie chcę dłużej żyć. Nie wiem, może jestem, nie byłam, nienormalna, bo nawet nie potrafisz zdefiniować pobudek, jakie mna kierują, ale nie chce żyć. Poza tym a conto śmierci zaplanowanej już kilka miesięcy temu narobiłam masę głupstw i w nich gmatwałem się teraz coraz bardziej.”

Nie będę pisała więcej, bo rozkleję się zupełnie i boję się, że zrezygnuję. Przepraszam Cię również za tę ostatnią nieobecność w domu. Musiałam jakoś nastawić się psychicznie. To jednak ogromne przeżycie. Przedśmiertne pocałowania od nas obu przesyła. Jadzia

Ja także bardzo proszę o nierozłączanie nas po śmierci. Może dokopielmy się do siebie”.

Potem jest dopisek skreślony koślawo, niektóre słowa są słabo czytelne:

„Jesteśmy już 9 i pół godziny pod działaniem gazu. To straszne dlatego tak długo... pękają nam z bólu, serce boli jak oszalate. Ale żyjemy. To straszne. O śmierci błagam przyjdź nam ratunek. Obie dostajemy torsi, ale tylko śliną...”

Jest też list do chłopca: „A teraz żegnam Cię kochany... „Na pożegnanie całuję Cię moimi jeszcze ciepłymi wargami, które za chwilę staną się zimne i sine. Niech cię one nie straszą po nocach. To tylko śmierć odbiera im ciepło i kolor”. „Żebyś ty wiedział co ja przez ciebie ucierpię...” itd.

Ale to nie wszystko. Dla matki zostało jeszcze zestawienie dóbr doczesnych pozostawionych przez nieboszczyka w różnych ludzi i wymagających odebrania — czyli rodzaj testamentu we współczesno - młodzieżowym wydaniu:

„Do odebrania u pani G. 2 płyty 33 obroty z Przystęp, Jakubczak, Michotkiem i Villas, biała torba

kapielowa, bezbarwny rozplącak do włosów, płytka pocztówka „Nie płacz kiedy odejdę”. U pani B. sukienka czarna ze srebrnym, szara siatka na zakupy, książki szkolne, które Stefan pożyczył Jadwidze do odebrania u jej mamy, leżą na 2 półce na etażerze”.

Listy te znaleziono na kuchennym stole 19 lipca 1963 r. Na stojącej koło tego stołu koczce leżały trupy dwóch dziewczyn, z zawodu telefonistek, 21-letniej Jadwigi M. i 22-letniej Jolanty O. Drzwi wiadcące do kuchni uszczelnione były szmatami.

Lista kłopotów życiowych samobójczyni rysuje się skromnie. Jadwiga M. miała narzeczonego, który z nią zerwał. Kaliber dramatu raczej z rubryki poradniczej „Filipinki” niż z literatury, lub życia. A bo chłopiec był studentem, a ona lubiła się bawić. Chłopiec miał egzaminy, a ona lubiła wychodzić „w miasto”. Konflikt na tym tle. Rozstanie. Potem przez długie miesiące poprawne koleżeńskie stosunki z eks-narzeczonego. Drugi krach życiowy — także odwracalny. Jadwiga M. systemem zaozycznym ma kończyć szkołę, zamiebuje się wszakże w nauce, w końcu nie przy stępuje do matury. Ukrywa to przed matką i otoczeniem. Przyjmuje gratulacje z racji rzekomego złożenia egzaminu dojrzałości.

Jolanta O. na dwa lata przed śmiercią porzuciła męża, mieszkającego w

Wyprawa na tamten świat znajduje jednak mniej amatorów, niż do kina i na lody. Wreszcie Jadwiga M. zaprzysięga się z Jolantą O. i ta jej nie odmawia.

Termin śmierci zostaje oznaczony na kilka dni wcześniej. Obie młode damy urządzają przyjęcie dla przyjaciół. Odbywa się przyjęcie na... przepraszam za dosłowność skojarzenia — umór. Gospodynie mówią o pożegnalnym charakterze spotkania, przyczynę owych pożegnań pozostawiając domyślności gości. Goście chcą być syści i pijani, a nie domyślni. Potem obie samobójczyźnie przez kilka dni i nocy nie wracają do domu: bawią się i puszczają (jak pamiętamy z listu „Przygotowują się psychicznie”), później wydzwanianą znajomych i żegnają się z nimi.

Jolanta O. najwyraźniej chce wywiązać się z zobowiązania wspólnej śmierci, a jednocześnie zachować życie. Wobec tego w tajemnicy przed przyjaciółką prosi matkę oraz jedną i drugą koleżankę, aby koniecznie rano 19 lipca wpadły do niej, do owego mieszkania, gdzie rzecz miała się dokonać. Jolanta O. aranżuje więc „przypadkowe cudowne ocalenie”. Jak na złość nikt nie przychodzi.

Wyobraźmy sobie, że samobójstwo jest aktem wyboru pomiędzy istnieniem, a nieistnieniem, podejmowanym wtedy, kiedy znikła nadzieja na to, by życie mogło w przyszłości przynieść coś dobrego, w sytuacji,



Warszawie i przyjechała do matki do Łodzi. Z razu skłonna jest do męża wyjechać pod warunkiem, że zamieszkają sami, gdyż wspólne mieszkanie z teściową powodowało niesnaski. Potem, kiedy mąż się nie godzi wyprowadzić od matki, wiąże plany życiowe z kimś innym, mieszkającym w województwie koszalińskim. Mąż wszakże odmawia jej rozvodu. Tem z Koszalińskiego nie chce dłużej czekać. Potem mąż naszej bohaterki, znalazłszy sobie kogoś, sam wystąpił o rozwód i mimo, że byli bezdzietni, na rozprawach rozwodowych gromadził dowody, iż jego żona „że się go prowadziła”. Te dosyć powszechne w tej sytuacji zabiegi jego rozwodzona właścicielka „ciążko przeżywała” wedle schematu „co sobie ludzie o mnie pomyślą”. Tyle dramacików.

Jadwiga M. od dawna ma obsesję samobójczą. Kilkakrotnie, głównie po pijanemu, inscenizuje samobójcze zamachy, niegroźne w skutkach i w żaden sposób niesynchronizowane w czasie z jej życiowymi kłopotami, przynajmniej tymi, które mają wymiar faktów. Jednocześnie intensywnie szuka towarzystwa do podróży na tamten świat. Tej i owej koleżance proponuje wspólne samobójstwo, tak jak proponuje się później do kina, albo na lody.

kiedy aktualnie niesie w sobie nieprzezwyciężalne zło czy nieszczęście. Dwie telefonistki dokonały innego wyboru: pomiędzy życiem jakościowo przeciętnym, ale mieszczańskim w sobie wszelkie pomyślnie nadzieje na przyszłość, jakie tylko są do realnego pomysłienia, a życiem pośmiertnym, pozagrobowym. Nie szukały go wszakże w zaświatach, w krainach nieznanymi, kreowanych przez religijną mitologię, ale na naszym świecie, w mieście Łodzi: w klubie SPATIF-u (gdzie bywały), w „Honoratce”, w centrali międzydzielowej na Wólczanek.

Owa wiara w życie pozagrobowe w mieście Łodzi, w to, że zaświatami owymi którym zaimponują, tych, których zamartwiają i tych których przyparują o wyrzuty sumienia — przebijają z listów pożegnalnych.

Kiedy wspomniemy staranną aranżację tego zejścia ze świata, reżyserię spektaklu złożonego z przyjęć, szalonych nocy, telefonów i dramatycznych listów pośmiertnych — stanie się jasne, że śmierć miał to być właśnie taki ubaw nad ubawę. I to tylko, ów „ubawowy” wystrój śmierci jest w tym samobójstwie czymś spoza normy.

Egzegeza listów pożegnalnych, szablonowych dosyć jak na tę sytuację, mieszczących to, co młode osoby, które nie są Heming-

wayami, uważają, że w tej sytuacji napisać wypada, pozwala wyczytać intencje poszczególnych sformułowań. A więc po pierwsze: nie jesteśmy takie zwyczajne, za jakie nas mieliście. Jesteśmy „sfinks ogromnie tajemniczy”. Po drugie: teraz dajemy wam bobu. Ty Rysiu cierp, żeś mnie usmiercił i niech ci po nocach jeżą włos na głowie wiesz trupich warg. Ty mammo (tu sadyzm sięga zenitu) wiedz, że się bawiłam myślą o Twojej rozpacz, do ostatniej chwili rozważając: zrobić ci świętostwo, czy nie. Jedyna niezamierzona makabra: nazwanie samobójstwa przeżyciem. I mnóstwo zamierzonej: owe panieśkie egzaltacje wyrażające się w żądaniu pochowania we wspólnym grobie, makabryczny dowcip na temat wzajemnego dokopania się do siebie. Fragmenty te zdradzają, iż wyobrażenie sobie śmierci przetrasta intelektualne możliwości pań samobójczyń. Ze prawdziwy dramat tkwi tu w tym, iż własnym życiem, czyli bądź co bądź wartością pokazną, dysponują osoby niezbyt dojrzałe i odpowiedzialne, którym się nie powierza kasy z dziecinniej nawet złośliwości. Natomiast własne życie mają w garści i dyspozycji.

Stoimy tedy w obliczu nie tylko tragifarszu szczeniackiej nieodpowiedzialności i niedowładu wyobraźni, ale wielkiego i poważnego dramatu. Dramatu nie konsekwencji.

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że środowiskowa epatacja samobójstwem dwóch telefonistek trwała nie więcej, niż trzy dni i że przypuszczać można, iż adresaci listów, których spokój miał być zburzony, spijają twardo: listy powędrowały do prokuratorskiej teki i tam sobie żółkną.

No i jeszcze warto dodać informację dla smakoszów: fragment listu opisujący doznania pod działaniem gazu, na chwilę przed śmiercią — pisany był, zanim obie samobójczyźnie odkreśliły kurek. Przygotowanie uprzednio. To stwierdza obiektywna ekspertyza medyczna.

Fakty mówią: około 50 procent osób targających się na swoje życie stanowią młodzież, aż w 33 proc. (39 proc. w grupie kobiet) młodzież, która nie ukończyła 19 lat. W grupie ludności powyżej lat 34 ilość samobójstw gwałtownie spada. Środowisko inteligentne wyduje z siebie tylko 16 proc. ogółu samobójców.

Można z tego wnieść, że — wbrew rozpowszechnionej opinii — samobójstwo nie jest owocem intelektualnych spekulacji na temat sensu życia i predyspozycją właścicieli umysłów złożonych. Zważywszy, że 44 proc. samobójców rekrutuje się z pracowników fizycznych (ciągle mowa o Łodzi) a 22 proc. spośród osób pozostających bez pracy (na ogół też z tego środowiska) i że jednocześnie blisko 60 proc. samobójstw ma tło rodzinne lub romantyczne — wnosić wolno, iż statystyka samobójstw świadczy o wielkim awansie uczuć rodzinnych i pozarodzinnych jako sprawy ogromnie istotnej w życiu klasy robotniczej.

Tylko 6 proc. ogółu samobójstw ma za podłoże kłopoty materialne, zle warunków mieszkaniowych itp. sprawy z dziedziny materialnych podstaw bytu. A więc cała reszta (może z wyjątkiem 6 proc. przypadających na choroby i 6 proc. przypadających na antagonizm w pracy), przyczyn rozstawania się z życiem (lub podejmowania takiego zamysłu, którego realizacja zaszwanowała) ma podłoże niejako luksusowe.

Tak więc i czarna, samobójcza statystyka ma swoje jasne socjalnie strony. W tym to dominującym,

prezdziale „cierpień moralnych” jako przyczyn samobójstwa mieszczą się i nasze dwie telefonistki, które żyć, owszem, umiały, a przecież nie dorosły do życia.

III. PIEKŁO

Franciszek T. — lat 46, bez zawodu. Deliryczne stadium alkoholizmu. Trzykrotnie bezskutecznie leczony w zakładzie zamkniętym dla alkoholików. Znał się moralnie i fizycznie nad żonę i dziećmi pozostającymi bez środków do życia. Po wytrzeźwieniu przepraszał i resztki pieniędzy lokował w prezentach dla najbliższych. Po dłuższym poszukiwaniu pracy, w dniu, kiedy lekarz mu powiedział, że do żadnej pracy już się nie nadaje — zostawił k 50 ki rzeczowy list do żony i reszki pieniędzy spadni. Był wtedy trzeźwy. Wyjątkowo trzeźwy.

Mniemam, że jego sm należy do tych, które opinii publicznej najbardziej są godne szacunku najwyższym z szacunku otaczane.

Samobójstwa określane mianem „choroby cywilizacji”. Znajdują to uzasadnienie w statystyce społecznej. Na Malajach przypada samobójstw na 100 tys. ludności, w Europie środkowej 80 na 100 tys. Przed wojną samobójstwa były w Polsce i w Łodzi dwakroć (mniej więcej) liczniejsze, niż dziś, ale dominowały samobójstwa z życiowo-materialnej konieczności.

Dziś samobójcy m. Łodzi w przeważającej większości pragną odejść z tego świata wytwornie, nowoczesnie, bezboleśnie i estetycznie. Blisko 80 proc. wybiera trucie się. Wieszanie się jest specjalnością alkoholików — mężczyzn. 35 proc. ogółu samobójców zażywa sprzedawane bez recepty środki przeciwbólowe. Często mikalia żrące, które dominowały, jako sposób targania się na życie, przed wojną — upodobało sobie tylko 15 proc. samobójców. 10 proc. truje się środkami nasennymi, a 8 proc. gazem świetlnym. Nieskuteczność wszystkich tych (poza gazem) trucizn nikogo nie odstrasza. Może właśnie z racji nieskuteczności są one w takiej modzie? Poza alkoholikami prawie nikt nie szła 19 lat. W grupie ludności powyżej lat 34 ilość samobójstw gwałtownie spada. Środowisko inteligentne wyduje z siebie tylko 16 proc. ogółu samobójców.

Można z tego wnieść, że — wbrew rozpowszechnionej opinii — samobójstwo nie jest owocem intelektualnych spekulacji na temat sensu życia i predyspozycją właścicieli umysłów złożonych. Zważywszy, że 44 proc. samobójców rekrutuje się z pracowników fizycznych (ciągle mowa o Łodzi) a 22 proc. spośród osób pozostających bez pracy (na ogół też z tego środowiska) i że jednocześnie blisko 60 proc. samobójstw ma tło rodzinne lub romantyczne — wnosić wolno, iż statystyka samobójstw świadczy o wielkim awansie uczuć rodzinnych i pozarodzinnych jako sprawy ogromnie istotnej w życiu klasy robotniczej.

Tylko 6 proc. ogółu samobójstw ma za podłoże kłopoty materialne, zle warunków mieszkaniowych itp. sprawy z dziedziny materialnych podstaw bytu. A więc cała reszta (może z wyjątkiem 6 proc. przypadających na choroby i 6 proc. przypadających na antagonizm w pracy), przyczyn rozstawania się z życiem (lub podejmowania takiego zamysłu, którego realizacja zaszwanowała) ma podłoże niejako luksusowe.

Tak więc i czarna, samobójcza statystyka ma swoje jasne socjalnie strony. W tym to dominującym,

E. LIWIŃSKA

PRZYGODA WIATREM PODSZYTA

O żeglarskiej pisze się zawsze za mało. Albo stawia mu się prasowe pomniki za zdobycie kolejnych stopni i minut długości i szerokości geograficznej — albo podaje się tylko komunikaty o kursach i egzaminach. Tak czy siak — zawsze odświętnie i zawsze za mało. A co tkwi między wielkimi rejsami zagranicznymi i egzaminami na stopnie żeglarskie? Zdobywanie stażu i szkolenie. Szkolenie i zdobywanie stażu. W ciulaniu mił stażowych nie zainteresowani są tylko jachtowi kapitanowie morscy i to po trzech rejsach kapitańskich. Wszyscy inni szaraczkowie zapamiętani w książeczki żeglarskie z ważną klauzulą morską, z łeś tam (ale zawsze... set i wyżej) złotych, z nadejściem wyzuczonego terminu wsiadają w pociąg i... zaczynają prawdziwe życie w Gdyni lub Świnoujściu. Mysły tym razem zaczęły w Gdyni.

HEL — WLADYSLAWOWO

Nie wiemy jaką mamy dewicję, bo celowaliśmy w Lebę, a wyszliśmy na Jastarnię. Kto wie, ile w tym winy kompasu, a ile sternika, bo np. Katamaranarz uznał tylko żeglarstwo swobodne, to jest: „zmieniam kurs kiedy chcę, a nie kiedy mi ktoś każe”. A huśtało w nocy, huśtało... Prezesa ma już wielu towarzyszy. Nowy żagiel opisuje się niezle.

WLADYSLAWOWO

Wsiadliśmy. Będziemy tu stać, aż się wywieje. Na morzu 7/B, a my mamy ograniczenie do 5/B. To znaczy wyjść z portu możemy tylko przy wietrze umiarkowanym, a jeśli na morzu spotka nas huragan (12/B), to nikt za to nie ponosi odpowiedzialności. Ale nasz „Boruta” doskonale czuje się powyżej płątki, to zbyt ostrożność.

Lenistwo we Władysławowie ma fatalne skutki. Dwoch zupełnie jednakowych braci Kasprzaków wita na pierście kutry wracające z morza. Okazuje się, że kutry znakomicie „biorą” na studentów i w szybkim czasie owocą władem świeżymi śledzi, sześcioma dorszami i siedmioma makrelami. Pierwsze „Bieranté Rocco” Katamaranarza. Ma wachty kuchenne, więc smaży i place. Jemy ryby na kolację, śniadanie, obiad.

WLADYSLAWOWO — USTKA

Wiatr 3/B, stan morza 3, wiatr słabnie, ciśnienie spada. Góra ciągnie ciepły front, ale jeszcze nie pada. Makrela zapowiedziała żołądki, a samo wyprzedzenie jej nazwy powoduje do śródnocnego co bardziej wróżliwych. Katamaranarz za wyzuczenie makreli i wymyśle garnika wycygania od Zbyska zwolnienie z wachty w kuchni. Pierwsze załamanie i oszolodzenie. Dlaczego nie można wytrzymać pod pokładem? A może lepiej się połozyc? Katamaranarz sugeruje Neptuna szwedzka sklejaną francuskim klejem i nie chce gotować knedli. Na widok jego historycznych zmagaj z kartoflanomaczną materią, Ela z okrzykiem „Chryście, znaczy, ciepłości” wkracza do kambuza. Kuba szczęśliwy, ale knedle twardo.

USTKA

Po odprawie celnej i WOP przeprowadzamy się w głąb portu. Tam będzie spokój, czasowicze nie będą nam za-

glądać w garnki. Stajemy pod buksprytem „Zawiszy Czarnego”. Wachtowi uprzejmie przybijają nasze cumy. Obok staje drugi łodziarz „Nike” z PTT-K. Konsternacja i narada, bo bandery w porcie opuszczone do pół masztu. Bieg do kiosku... i wszystko już wiemy. Już i „Boruta” i „Nike” noszą żałobę.

USTKA — DARLÓWEK

Pogoda piękna, wachty idą swoją kolejką. „Boruta” chłapie i przycha. Katamaranarz opowiada kolejną najlepszą dowcip syberyjski. W nocy przebijamy się przez „wesole miasteczko” — kutry ciągnące włok parami. Trzeba w porę rozpoznać taką parę i wywlać się z włoka.

W Darłówku zgorzony porucznik WOP — „dwa kobiety na pokładzie, a mężczyzna garnki myje!”

DARLÓWEK — KOŁOBRZEG

Pogoda wspaniała. Wałesamy się półnago po pokładzie, pranie, mycie. Nadmuchiujemy ponton, Ela i Zbyszek kapla się, ale dość prodko śmieją. Ela się rozbestwia, chce umyć nogi. Gramoli się na ponton, ale jacht ma za duża szybkość i ponton wyrzaca się. Głowa Eli niżej w siniej dali... Kiedy wraca na pokład z łałem patrzy na mokre kosmyki, które nie przypominają wcale fryzury sprzed pół godziny.

KOŁOBRZEG

Wita nas czarujący kapitan WOP. Dowiadujemy się wiele ciekawych rzeczy o porcie, ruchu statków, a jacht-klubie WOP-u, o finale afery szpiegowskiej sprzed 12 lat. Piękny kutur rybacy z NRF przeczekał spłęgów na polskie wybrzeże. W czerpni zostały zatrzymany, właściciela aresztowali, załoga zwolniona, a kuter będzie łowił ryby w polskiej spółdzielni rybackiej.

Usilujemy wyjść z portu. Wiatr jest przeciwny, w dodatku kreć. Przez pięć lat nie dobrułoby się siłnika. To może kiedyś smutno się skończy, w jakimś klasnym przebiegu może zabraknąć wiatru i miłego... Tak jak nam w Kołobrzegu. Ale tym razem skończyć się dobrze. Jesteśmy już poza najgroźniejszymi główkami portowymi na wybrzeżu polskim i jak dobrze pójdzie, rano powinniśmy zobaczyć Dueodde na brzegu Bornholmu.

KOŁOBRZEG — ŚWINOUJŚCIE

Idzie dobrze, coraz lepiej. Pierwszy rejs zakładamy na moję wachcie, o 6 rano. O 11 — drugi, odkrywa się wybrzeże Bornholmu, ale Rønne, a nie Dueodde, To znaczy, że wyszliśmy bardziej na zachód. Fała duża. Strasznie chłapie. Płynemy wzdłuż zachodniego brzegu Bornholmu na północ. Szybkość 8 węzłów — przy zmniejszonej powierzchni ożaglowania, to dla „Boruta” ładna szybkość. Zanim się oberzeliśmy, już odbiliśmy od brzegu szwedzkiego pod Ystad i dalej z górką — do Bornholmu. Trzynaśmiolatek młodzieży Bornholmu i Christiansu — szlakiem pracowników. Pędzimy nieprzytomnie, znowu z wiatrem na zachód. Jeszcze chwila, a zobaczymy Syrenkę w Kopenhadze! Ale pod Arkoną przyszło opamiętanie i zwrot, pod wiatr. Teraz znowu trudno się zmieścić, blisko po zawietrznej kamienisty brzeg. Przeskakujemy ruchliwy szlak statków pasażerskich, po pięciach depeze nam prom wiozący Szwedów do Świnoujskiej Ziemi Obiecanej. Rano widać brzeg, strzelamy więc rakietę na wiat i zagłębiamy się w miętka, ciepła, ojezysta mżawkę. Na rzędzie Świnoujska 10k. 9 statków czeka na miejsce przy nabrzeżu. Wechodzimy w głóWKi portu, salutujemy „Błysławiecy”, odprawiamy się granicznie i celnie i kończymy rejs przy nabrzeżu Władysława IV w Świnoujściu. Teraz musimy wysuszyć żagle, koca, materace i wszystko co nasze, przewleczyć i umyć jacht, zostawić go w jak najlepszym stanie dla następnego, szkodliwego rejsu. A kiedy już wszystko skończono, w triumfalnym pochodzie idziemy na plażę. Do pociągu jeszcze mnóstwo czasu. A do stażu morskowego przybyło po 628 Mm. Nasz „Boruta” uciął tych mił już 17.710. Żeby sak jeszcze siłnik!



JERZY GRYGIEL: „Rybacki port I, Świnoujście”

O D godziny chodzę po Bałtyku. Brzmi to trochę dziwnie i może ktoś powiedzieć, że próbuję naśladować mego Sławego Poprzednika. Ale tu cudów nie ma. Suchą nogą chodzę po Bałtyku. Zaglądam w jego głębinę, we wszystkie tajemne zakamarki. Pora chyba wyjaśnić że Bałtyk, po którym ja grzeszny suchą nogą stątam nie jest tym Bałtykiem do którego wpada Wisła, lecz jest to statek płynący po Wiśle. Nie płynię sam. Ma znakomite towarzystwo dwóch naszych bohaterów narodowych — Dzierżyńskiego i Świerczewskiego. Ta trójka w zasadzie nierozdzielnie płynie od Włocławka, słynnego z pamiętek z celulozy, przez Ciechocinek, Toruń, Elbląg, Malbork do prawdziwego zimnego i brudnego Bałtyku. A potem z powrotem (przepraszam za rytm) przez Chelmino i Grudziądz do Włocławka albo Płocka. Cała podróż trwa 7 dni i kosztuje 840 złotych. Dość wiele. Ale to dla tych, którzy wybrali właśnie taką formę nieplanowanych czasów turystycznych — krajowawczych organizowanych przez FWP. Członkowie Związku Zawodowych płacą oczywiście mniej. Bałtyk jest największy, zabiera bowiem około 100 pasażerów. Dzierżyński i Świerczewski po 80. Tyle osób mogłoby korzystać z jednego turnusu czasów turystycznych-krajowawczych. Ale lud polski boi się niewygód turystycznych, nie przywykł jeszcze do życia trampów, więc stroną od takiej formy wypoczynku i dlatego kompletu 260 osób nigdy jeszcze nie było. Może to i lepiej, w mniejszej grupie łatwiej zorganizować wycieczki po miastach, zabawy, gry towarzyskie, o których mowa będzie później. Właściwie trasa wodnej wyprawy zaczyna się w Warszawie, ale nasza królowa Wisła ma za mały stan, oczywiście wody i dlatego pierwszy etap podróży czasowicze przebiegają autokarem. Z Warszawy do Płocka albo Włocławka, wszystko zależy od stanu wód. Po tem podróz obfituje w dalsze wodne niespodzianki. Oto Świerczewski osiadł na mielnie Swemu koleże przychodzi z pomocą Dzierżyński, który podaje mu swoją siłą ręką i wyciąga go z opresji. Kilka kilometrów dalej z kolei Dzierżyński prosi o cumę. Płyynie więc czasowa flotylla po Wiśle, modrej rzece, miją albo wpada na mielizny i tak upływa na wodzie dzień po dniu. Na lądzie zaś zwiedzanie zabytków, Zaprowiantowanie statku w artykuły, z których kucharze będą się starali zrobić śniadanie, obiad i kolację, i zaprowiantowanie Indywiduane — przeważnie w alkohol, przy pomocy którego czasowicze uzupełniają brakujące kalorie. To często nadmierne używanie napojów wyskokowych jest wynikiem dość przypadkowego doboru czasowiczych. Na palcach można policzyć tych zapalonych turystów zaprawionych w turystycznym rajdach, złazach, zachwycających się pięknym krajobrazem, czekających godzinami na zachód słońca. Dla nich mżawkielki brzeg, trochę nudny i jednostajny jest przedmiotem nieustannych zachwytołów, tego och! i ach! którego nie ma przeciętny śmiertelnik. Górnikanieturystę z Konina (bombe piwa prosze!), ekspedientkę MHM z Warszawy (ja proszę pana z tą afera nie mam nic wspólnego, słowo honoru!), pracownicę Miejskich Pralni i Farbiarni z Lublina (dlaczego w kajutach nie ma szaf?) — nudzi ten jednostajny krajobraz, usypia monotonny plusk wody i szmer padającego deszczu. Jedyną rozrywką pozostają kontakty i gry towarzyskie. Kontakty towarzyskie ułatwia alkohol, gry towarzyskie instruktor KO, kierownik turnusu, konferansjer, meldunkowy, główny zapiewajają w jednej osobie.

Jak i w co bawia się pływający czasowicze: Jak grzebane dzieci w taniec z miotłą, w głuchy telefon, w pomidora i w stółki. Z doroslejszych zabaw — panie zdejmują na

Zbigniew Wojciechowski MIEJSCA ZAMIESZKANIA BALTYK

dany znak marynarki panom (panowie po skończonej zabawie rewanżują się panom), zabawa w tzw. odbijanie (trwa przez cały turnus) oraz wieczorki taneczne przy magnetofonie (Biedroneczki są w kropeczki i przy adapterze (Tango, Milonga, Bluzeczka zamozowa, itd. w wykonaniu Fogga). Kulminacyjnym punktem wszelkich zabaw jest „Bal kapitański” ze względu na osobistościowych uczestników na „Bal galanarzy”. Trwa on zazwyczaj do późnych godzin nocnych, by kończyć się nad ranem w dwu lub czterech osobowych kajutach.

Jak zwykle w wielu sprawach „nie ma zgody mopanku”. Część czasowicze uwielbia lokalny koncert życzę (Pani Zycie z kajuty nr 7 wszystkiego co się szczęściem zwie życzy Żłutek z kajuty nr 23 prosząc o spotkanie) inni są zagorzałymi przeciwnikami takiej rozrywki. Jedni uważają, że tych siedem dni na Wiśle powinno upływać w ciszy i spokoju, drudzy są zwolennikami aktywnego wypoczynku przy twiście, sambie i medisonie. Kierownik — omnibus występuje wtedy w roli mediatora. Zarówno jednym jak i drugim wygłasza salomonowe sądy „Kochani, jeszcze trzy dni zostały do końca turnusu, musicie jakoś przetrzymać”.

Naukowiec z Instytutu Włókiennictwa obok pięknej kwiatarki z klucza PGR Wenecja, pięćdziesięcioletnia pani z reumatyzmem w kościach (zupelnie nie wiedziałam, że będzie się mieszkala na wodzie) obok uczniów ze szkół zawodowych.

Klimakteryczne pełne pretensji do świata pa nie obok 5-6 letnich bobasów bez przerwy biegających po pokładzie. „Dla każdego coś miłego” rekomenduje swój statek kapitan „Bałtyku”. Inny zaś pan, którego poznałem tuż przed opuszczeniem statku, powiedział mi, gdy zapytałem czy rzeczywiście wypoczywa na tych wilgotnych czasach — „Jedni lubią patrzeć i zachwycać się przyrodą, krajobrazem. Ja lubię patrzeć i obserwować ludzi. Właśnie dlatego nie żałuję że tu jestem. Pyszna zabawa i pyszny wypocznik”.

Statek powoli zbliża się do Torunia. Pano wie a zwłaszcza panie ubrały wyjściowe kreacje, jeszcze ostatnie spojrzenie na portfel czy starczy złotych na doskonale „Katarzynki” i rozlega się głos spikera (czyli kierownika omnibusu) — „Proszę państwa zbliżamy się do Torunia, miasta Mikołaja Kopernika i smakowitych pierników toruńskich. Na lądzie czekać będzie przewodnik i autokar. Jeszcze raz proszę o punktualność”.

Opuszczam „Bałtyk” wraz z innymi pasażerami. Na statku zostaje załoga i kilka par kochających samotność. Jest chłodno. Sierpniowa pogoda nie sprzyja żeglarskom. Autokary już czekają. Zegnam się z czasowicami, stewardessą, kapitanem i postanawiam się rozgrzać szklanką gorącego mleka.

Tym to właśnie napojem w Barze Mlecznym wznoszę toast „za tych co na Bałtyku”, za tych odważnych, spędzających wakacje na wodzie.



ADAM IDZIŃSKI: „Para za parą”...

GO nisza inni

□ Krystyna Golańska w reportażu „Szkoła w znikomą”, ukazując przykład „patologicznego zjawiska społecznego”, jakim stać się może rozdział między zdrowym rozsądkiem a sztywnie interpretowanymi paragrafami. Inżynier L., wynalazca straszawy, kiedyś przy próbie nowego granatnika ręce, doznawszy później sam losu inwalidy — zaczyna konstruować przyrządy rehabilitacyjne dla inwalidów i chorych umożliwiający im powrót do czynnego życia i do pracy; wynajduje instrumenty do operacji, pomocniczy sprzęt szpitalny. Potrzebując na modele laboratoryjne i na same przyrządy surowca, nie mogąc go zdobyć, obchodzi drzewce przepisy zakupów i zdobywa „palm swędem” surowiec, potrzebny mu zresztą dla wykonania zamówień państwowych. Wypada w konflikt z instytucjami własnie państwowymi. Wynikiem konfliktu jest PROCES, kończący się likwidacją warsztatu pracy, równą jego zniszczeniu. Sad uznaje go za winnego „szkod znikomych”, rozsądek woła o opiekę nad utalentowanym człowiekiem, którego wiedza i talent służyły najbardziej humanitarnym celom, przepisy nie godzą się z sensem egzystencji inżyniera L. Powstaje sytuacja iście kafkowska: człowiek stworzył kiedyś prawo, aby chronić go przed złem, aby służyć mu, prawo wyodrębniło się i stało się instytucją, która ze swego stworcy czyni ofiarę — i mówi się, że w dzisiejszych czasach model kafkowski nie przystaje do rzeczywistości.

□ Znany pisarz islandzki Halldor Laxness mówi o sztuce narracyjnej, o „antypowieści”, o zagadnieniach techniki i konwencjach współczesnej prozy.

□ Krzysztof Teodor Toeplitz w swoim felietonie cotygodniowym uderza w fetysz pojęcia „upowszechnienie kultury”. Pisz: „Myśląc o upowszechnieniu kultury, myślimy o formach łatwych, szeroko dostępnych, których przyjmowanie nie wymaga wysiłku. Myślimy — powiedzmy szczerze — o papce kulturalnej, która „czyszczy nie przyswajając smaku”, jak pigulki reformackie. Temu idealowi jest podporządkowane wiele w programie telewizyjnym, sporo w teatrach, sporo w wydawnictwach, masę w filmie. Jest to błąd kardynalny... Warunkiem wszelkiego życia kulturalnego jest to, aby nad wolnym punktem wyjściowym, najbardziej powszechnym, wznosiła się najrozleglejsza skala stopni wzniosłości, aby człowiek, który dzięki kółku amatorskiemu czy telewizyjnej nabrał smaku do teatru, mógł rok po roku chodzić na coraz trudniejsze, skomplikowane przedstawienia, zaczynając od Fredry, a kończąc na Becketcie, albo zebrać na czymś o czymż tam się jeszcze nie śni. Bez owej gradacji kultura powszechna utrwala się na dość wysokim poziomie przeciętnym, jest kulturą martwą, jałową i beznadziejną. Kulturą ślepego powietrza”.

□ Aleksander Rowinski, pisze o odwrotnej, wstydlivej (handlowej) stronie festiwalu sopockiego.

□ Reportaż z nowo odbudowanego Wilanowa, pióra Jana Górskiego.

□ Impresja Bożeny Kowalskiej z odwiedzin w londyńskiej pracowni naszego sławnego rodaka Feliksa Topolskiego, Grafiki Topolskiego.

POLITYKA

□ Czechosłowacja przeżywa od roku swój „październik” — mniej żywiołowa, bardziej dojrzała, z większymi, dalej sięgającymi zmianami w ocenach dawnych zjawisk i w sztukach. Powstało tam już wiele wartościowych dzieł literackich, film czechski przeżywa swój wielki renesans, zbierając na rynkach światowych nagrody za nagrodami, rozwija się ciekawe malarstwo, rzeźba, odnawia się teatr. Oczyszczają się z fałszywych interpretacji, narzuconych w okresie stalinowskim, fakty i zdarzenia historyczne, rehabilituje się imiona niewinnie skazanych ludzi. Nowemu owym cięgieniom powstanie powstanie, składa mu się oświetlenie podlega powstanie powstanie, wydziałów obecnym, bold, jako jedynemu z socjalistycznego państwa leżących o podwalin nowego socjalistycznego państwa czechosłowackiego. Przedtem już zrehabilitowano wybitnych komunistów, niesłusznie oskarżonych i zasądzonych, między innymi wybitnego poetę i krytyka Laos Novomieskiego. Interesujący artykuł o tych sprawach zamieszcza w POLITYCE Jozef Lewandowski.

□ Poza tym ciekawy reportaż „wielisk” Anny Strońskiej; żywo napisane „wrześniowe wspomnienie” Wandy Poltawskiej.

TYGODNIK KULTURALNY

□ Numer wypełniony sprawami września 1939 roku, drugie wojny światowej. W dziale literackim — portret Artura Sandaiera pióra Włodzimierza Maciaga. Krytyka krakowska, oceniacca wysoko awangardowe, antytradycyjne modele literatury, mniej ścisłe myśli o utworach beletrystycznych Sandaiera „Smierć liberała” i „Zapiski z martwego miasta”. Pisz on: „Powstała w ten sposób proza frapująca jako pomysł, staje się jednak w sensie narracyjnym ciechła, brakuje jej żywiołowej bezpośredniości i tych uroków, jakie tworzą pisarze o talencie sensualistycznym”.

OBSERWATOR

pełnie innej sytuacji moralnej.

Wszystko to, a także niewątpliwie — potoczność tej prozy, stało się niewątpliwie przyczyną duzego zainteresowania książką „Tchórzostwo” — to powieść psychologiczna, ale bez problematyki psychologicznej orientujące się na wielkie odkrycia psychologów naszego wieku. Jeśliż można wskazać tu na jakieś koligacje, to należałyby się powołać na Zapolską — ona bowiem „patronuje” niejako tej prozie. To raczej powieść psychologiczna o zabarwieniu obyczajowym.

Dodajmy, powieść ta nie wnosí żadnych rewelacji, popularność swoją zawdzięcza niewątpliwie prozie. Jej „nowoczesność” polega na operowaniu nowszymi realiami, jako że od czasów narodzin tego gatunku prozy upłynęło sporo czasu i zmieniły się zarówno obyczaje, a także i to chyba najważniejsze — stosunki społeczne, w jakich działają bohaterowie; bo akcja powieści rozgrywa się współcześnie na Węgrzech.

Jej wartość — polega chyba na tym, że odkrywa te aspekty naszego współczesnego życia, o których najczęściej milczy się wstydliwie.

JHW

Imre Sarkadi „Tchórzostwo”, Czytelnik, Warszawa 1964, str. 195, cena 8 zł.

Filmowy miesięcznik francuski „Cahiers du Cinema” zamieścił wywiad z słynnym i niesłuchanie modnym obecnie uczonego antropologiem, etnologiem, strukturalistą, autorem popularnego u nas bestsellera „Smutek tropików” w jednej osobie czyli Claude Levi-Straussem. Gwoli zaspokojenia ciekawości naszych czytelników — co też myślą światowe znakomitości na temat filmu — przytaczamy fragmenty jego wypowiedzi. Uczony przyznaje, że ostatnio o wiele rzadziej bywa w kinie. Dlaczego? Między innymi dlatego, że film uległ ogromnym przeobrażeniom. Dawniej, film nie stawiał problemów. To był rodzaj towaru o wiadomej jakości. Wiedziało się z góry jakiej może dostarczyć przyjemności. „To mogło być lepsze lub gorsze, ale nie budziło niepokoju. Te raz są szkoły, teorie, które zmuszają za każdym razem do wyboru, czego oświadczenie bardzo nie lubię”.

Magnezem była dlań nie tyle wartość dzieł filmowych, ile warunki, miejsce, sposób w jaki się je odbierało. Ciemna sala, wygodne fotele i „wi-dowski, które z uwagi na swój rzemieślniczy charakter i brak wszelkich aspiracji intelektualnych i estetycznych nie zobowiązywało do niczego, do zajęcia jakiegokolwiek postawy. To było coś w rodzaju schronienia współczesnego człowieka, gdzie można było bezzwycięnie oglądać przepływające obrazy lub dać się ponieść marzeniom”. A teraz... „chcę iść do kina wie się z góry, że to film młodej szkoły francuskiej, lub film

MARIA KORATOWSKA

LEVI-STRAUSS O FILMIE

amerykański typu tradycyjnego — skądinąd cudownie zdegenerowanego, itd. — trzeba więc się zastanawiać, wybierać, decydować...”

I, już poważnie, Levi-Strauss dodaje, że „wielkim zjawiskiem ostatnich lat jest fakt, że film zaczyna się nad sobą zastanawiać, że wybiera kierunki swego rozwoju. I dlatego widzę idące do określonego kina, tym samym opowiadając się po czyjej stronie i akceptuje lub odrzuca”. Następnie stwierdza, że poczynania niektórych młodych filmowców są niepokojące. Świadczą one o niedostrzeganiu lub świadomym lekceważeniu różnic jakiejś istniejącej między filmem-widowiskiem trwającym w ograniczonym czasie a innymi sztukami. Z uwagi na to różnice film musi być dokończony, wyczuha ny nawet.”

Nie powinno się natomiast robić takich esejów lub szkiców jakiegoś rodzaju, które byłyby obecnie zalegającą ekranu. Nie ma nie gorszego niż filmy-bruliony. „Nie użyjcie paralelności jaka chce się ustanowić między twórczym literackim i tworzeniem filmowym, wbrew całkowicie, w obu przypadkach, odmiennym warunkom obiektywnym. Film nie powinien zapominać o swojej widowiskowej naturze, o ograniczonym cza-

się swego trwania, narzucających konieczność wysokiego poziomu rzemiosła”.

Raz jeszcze wzdychając melancholijnie z żalu po starym dobrym kinie nie zmuszającym do myślenia ani nie budzącym żadnych niepokojów, Levi-Strauss wymienia następnie filmy, które mu się ostatnio podobały. A więc amerykańskie: „Piknik”, „Dwa złote colty”, „Siedmiu wspaniałych”, z francuskich, „Hiroshima, moja miłość”. Widzi w niej „wielką epopeję liryczną na temat miast, patetyczny kontrpunkt przeciwstawiający miasto mądre — Nevers — miastu szalonemu, demonicznemu — Hiroszmie. Każde z nich ilustruje historyczny etap ludzkiego istnienia.

I ten drugi zaczyna być nie stety naszym udziałem. Na marginesie uwag o innym filmie Resnais — „Muriel” — rzuca interesujące spostrzeżenie: „Antoni z tego dowiedzieć, że życie jest śmiertelnie nudne, robi o tym śmiertelnie nudny film. Sądzę, że lepiej do wiedzie tego film, który potrafi zrobić to w sposób sponującą. To samo odnosi się do „Muriel”: malowanie mieroty nie wymaga wcale stosowania miernego języka”. Czego żąda sławny uczonego od kinematografii — sfilmowania całego repertuaru operowego „przy życiu całej potęgi środków jakimi dysponuje współczesne kino, a więc koloru, szerokiego ekranu, z tancerzami i mimami jako aktorami, bardzo pięknymi, oczywiście i dubbingowanymi przez wielkich śpiewaków”.

Kino winno kontynuować idee Wagnera — tworzyć na ekranie opery feeryczne. Levi-Strauss żywi też poważne zastrzeżenia do rozpowszechnionych obecnie poglądów utószniających nowoczesność z niechlujstwem formalnym.

A co sądzi o cinema-verbose? „Trzeba odróżnić 2 aspekty tego problemu. W istocie na nazywa kina-rawdy zasługuje jedynie czysty dokument etnograficzny...”

Co do wartości rzekomego cinema-verbose jako metody odkrywania prawdy o społeczeństwie, sądzę, że to oszustwo, ponieważ realizacja tych filmów wygląda mniej więcej następująco: za czynią się ze świadkami, kontynuując ze współnikami a kończy z przyjaciółmi. A po tem chcą nas przekonać, że wszystko pozostało w sytuacji „wyścigowej”. „Uznaję cinema-verbose, dodaje po chwili, na tej samej zasadzie, co notatniki pracującego w terenie etnologa lub socjologa. Tylko że oni nie publikują

swych notatników”. Nawet Rouchowi zarzuca operowanie pseudo-prawdą, podawanie za prawdę tego, co przez wprowadzenie elementów fikcji jest już deformacją rzeczywistości. W takim przypadku uczciwszy jest normalny film fabularny, który przy najmniej nie myśli oczu rzekomą prawdą. Nawet montaż orientuje tzw. cinema-verite w stronę fikcji”. Dlaczego? Bo trzeba przeobrazić prawdę w widowisko. Dlaczego? Bo prawda sama w sobie byłaby nudna i nikt nie chciałby jej oglądać. Film musi być przede wszystkim dziełem sztuki. Zbieranie doń dokumentacji jest prywatną sprawą filmowca. Ale prezentowanie nam jej w stanie surowym jest niedopuszczalne”. Z tego wynika, że profesorowi odpowiada Hitchcock? Jak najbardziej. Nie podobały mu się tylko „Ptaki”. Fałszywy układ stosunków między naturą i kulturą. Pozbawiają w gruncie rzeczy ptaki tej tajemniczości i grezy jaką one rzeczywiście posiadają.

Razi go też filozofia filmu. „Nie lubię reżyserów, którzy swoimi filmami uprawiają filozofię. Filozofia — jeśli istnieje, winna tkwić w kompozycji obrazów, w ich toku, a nie w deklaracjach, które wbiłają nam się maczugą do głowy”. To odnosi się zwłaszcza do Bergmana. „Nie mnie nie irytuje tak, jak filmy Bergmana, który nie chce być Rembrandtem kinematografii... Szanuję i podziwiam Rembrandta, lecz istnieją 2 rodzaje malarstwa: Malarstwo i Infreska. Malarstwo Ingresa też zawiera jakieś posłannictwo, ja kąś teze ale wcielone w kolory i kształty, przemawiająco bezpośrednio językiem plastycznym. Tezy Rembrandta są poza jego obrazami. Patrzy się na obraz a potem się stwierdza, że on daje do myślenia...”

Reasumując, kiedy pada słowo film myśli pan przede wszystkim o... „Ach, myślę także o „Psie andaluzyjskim”, „złoty wieku”, „balecie mechanicznym” Chaplina i wielu innych”. Z ostatnich filmów Bunuela najbardziej podoba mu się „Dziękczynna z wyspy”. Mniej „Viridiana” — że grana i obliczona na określony typ publiczności. Na zakończenie Levi-Strauss powraca raz jeszcze do swej ulubionej koncepcji filmu-opery. „Film i opera są dla mnie jedynymi formami widowiskowymi, wielowymiarowymi, możliwymi do przyjęcia w naszej epoce”. Film, mógłby wzbogacić operę swymi środkami technicznymi. Opera oznacza obecność mitu. Uczony proponuje utworzenie we wszystkich wielkich miastach specjalnych kin, wyświetlających tylko repertuar operowy. „Byłoby to coś w rodzaju muzeum mitów współczesnego człowieka”.

M. K.

Marcin Czerwiński „Lekcja włoska”, PIW, 1964 r.

POZA TYM NADESLANO:

B. W. Lewicki „Wprowadzenie do wiedzy o filmie” — książka mówiąca o podstawowych pojęciach związanych z filmem; drogowskaz metodologiczny w dziedzinie zagadnień filmowych. Wyd. im. Ossolińskich 1964, str. 196.



S. Krasankas: Litografia 1960

PIWKA Książkami

TCHÓRZOSTWO

Na obwolutie tej książki znajduje notę, że została ona przetłumaczona na wiele języków i cieszy się dużą popularnością. Nie dziwiw to. Książka ta napisana w sposób prosty niewyszukany, może się podobać. Wszystko w niej jasne, wyłożone bez metafor, bez podtekstów. Jednocześnie autor podejmuje jeden z ważniejszych problemów moralnych naszej epoki — problem pozycji kobiety we współczesnym społeczeństwie. Rzecz może być ciekawsza, że pisana jest z pozycji bohaterki, przed którą staje problem wyboru — wygody życiowej w sytuacji uwielającej jej godności osobistej, lub też trudnego życia, ale w zu-

BARON DRZEWOŁAZ

Tę książkę wydaną w serii Nike nie można przeoczywać, warta jest zresztą szerszego omówienia. Autor jej Italo Calvino należy do najciekawszych włoskich pisarzy współczesnych, tłumaczony jest na wiele języków świata. Przed kilkunastu laty ukazała się u nas jego powieść „Ścieżki pajęczycy gniazd”, przed rokiem „Rycerz Nieistniejący”.

„Rycerz Nieistniejący” i „Baron Drzewoład” należą do powieści fantastycznych; są powiastkami filozoficznymi. W planie fabularnym „Baron” jest zabawnym fikcyjnym życiorysem barona Cosimo Piovasso — akcja dzieje się w XVIII wieku — który w wieku lat dwunastu, zbudowany z siebie przeciw obyczajom i formom swojego świata i przeciw naciskom i przemocy wychowania uciekł z domu i zamieszkał na drzewach, odmawiając zdecydowanie powrotu w białostkę istot dwunożnych. Tam jadał, spał, bawił się jako chłopiec z bobuziakami obrywającymi sady, tam polował, potem uczył się, studiował filozofów, korespondował z Wolterem, pisał rozprawę i — kochał się do zależeństwa; po galęzłach odbywał podróże do innych miejscowości i miast, spotykając i szukając podobnych sobie wyznawców woiności; stanął brat udział w osiemnastowiecznych ruchach społecznych (był jakobinem i masonem), wdział

odwrot wojak napoleońskich i pościł wojak rosyjskich. Tam, w dobro-wolnym skazaniu się na osamotnienie, ale w stałym pragmatycznym związku z ludźmi, „myślał o czymś, co by obejmowało wszystko, o czymś czego nie można powiedzieć słowami, lecz tylko żyjąc tak jak on żył. Tyłko będąc nieubliżając sobie, jak on był aż do śmierci, mógł dać coś z siebie wszystkim ludziom”.

Kapitałne, pełne humoru, ironii i zabawnego cierpkawego sceptycyzmu są jego myśli, jego dialog z oficerem rosyjskim, księciem Andrejem, który świążąc oddziały napoleońskie, mówił, że od lat czyni te straszne rzeczy, wojnę... i wszystko dla ideałów, których sam sobie prawie nie mógłby wytłumaczyć. Baron Cosimo odpowiada księciu: „Ja także żyję od wielu lat dla ideałów, których nie umiałam wyznać nawet sobie samemu: ale ja robię jedną rzecz zupełnie dobrą: żyję na drzewach”.

W. K.

Italo Calvino „Baron Drzewoład”, Czytelnik, 1964, str. 375, cena 21 zł.

LEKCJA WŁOSKA

„Lekcja włoska” jest lekcją dotyczącą spraw nie tylko włoskich. Uczy czytać z oblicza kraju,

Pochwała autentyzmu

Współczesna proza powieściowa w coraz większym stopniu pozbawia się bogactwa realiów życia codziennego. Autorzy, wychodząc z założenia, że film, reportaż, telewizja wzięły w pachy opisywanie rzeczywistości, porzucają tereny dawniej z taką lubością uprawiane i koncentrują swoją uwagę nie na odwzorowaniu sytuacji zewnętrznej, obiektywnej, lecz na wewnętrznej sytuacji człowieka. W wypadkach skrajnych (a jest ich coraz więcej) literatura współczesna pozbawia bohatera jego otoczenia, wyjmując go jak gdyby z rzeczywistości, ukazując człowieka jako zjawisko samo w sobie, bez powiązań z otaczającym go światem. A kiedy się zdarzy, że autor napisze tzw. normalną książkę ze wszystkimi odsyłacami do realnej rzeczywistości, krytycy mrugają porozumiewawczo okiem i mówią: „Nie damy się na to nabrać. To jest proza przewrotna. Wcale nie chodzi w niej o to, o co chodzi, ale o coś zupełnie innego”, i dają szukać w książce tego, czego nie ma. Natomiast to, co jest, uchodzi ich wnikliwej uwagi.

Tylko ta ucieczka od opisywania rzeczywistości, od ukazywania człowieka w jego codziennych realiach, można wytłumaczyć tak wielkie zainteresowanie dla wszelkiego rodzaju autentyków. Jarosław Iwaszkiewicz w jednym ze swoich niedzielnych felietonów w „Życiu Warszawy” wychwalał „Miesiąc mojego życia” — pracę zbiorową, składającą się z codziennych zapisków ludzi różnych zawodów, różnego wieku i pochodzenia. Zafascynowało go bogactwo realiów, jakie znalazł w tej antologii, codzienność ludzka, małe kłopoty, małe radości, powrodożenia i kłeski, słowem życie we wszystkich jego przejawach. Ciągłe jeszcze nie wiemy, jak ludzie żyją w naszym kraju i ciągle jesteśmy tego ciekawi. Ale nie tylko jak żyją. Nie wiemy, jak widzą naszą rzeczywistość, co o niej sądzą, jak borykają się z tysiącami „drobnych i nieważnych”, ale zdzierających nerwy i siły spraw w mieście i na wsi, w domu i w biurze, przy wazancie i na wczasach. Proza artystyczna nie znajduje zrozumienia dla tych rzeczy. Może ma ku temu swoje powody, i to nawet powody ważne, które trzeba uznać. Fikcja literacka operuje światem prawdopodobnym, co nie znaczy — prawdziwym. Oczywiście, wywoływać moje nie zmierzają ku temu, by automatyzm przeciwdziałać fikcji, faktyczną rzeczywistość — rzeczywistości artystycznej, syntetycznej.

Jeżeli chce czego dowiedzieć, to jedynie tego, że najlepsza nawet fikcja literacka nie zastąpi nam autentyku. Jesteśmy głodni wiedzy o świecie, o życiu i ludziach. Dlatego takim powodzeniem cieszą się pamiętniki, dzienniki, wspomnienia, listy. Van Gogha „Listy do brata” ukazały się w

drugim wydaniu, tym razem w nakładzie 20.000 egzemplarzy, i zapewne wkrótce znikną z półek księgarskich. „Miesiąc mojego życia” zachwycił Iwaszkiewicza (i nie jego jednego), bo książka ta odsłoniła przed nim i przed nami obraz szarą prawdy zwykłej, codziennej, ale przecież dla wielu niedwidwie egzotycznej. W tym zbiorze pamiętników, poprzedzonym porządkującą przedmową prof. Józefa Chalasińskiego, przeważają kobiety. I to kobiety tzw. nie pracujące czyli zajęte domem i dziećmi. Z ich zapisków wylania się dramatyczny obraz rzeczywistości i marzenia, tęsknoty i samotności, szczęścia i poażki. Jakże przejmujące jest wyznanie „Jednej z wielu”, która egzystencję swoją zamyka w takim skrócie: „Dużo książek, mało przyjaciół, jedna miłość”. Albo inna, ukrywająca się pod pseudonimem „Rocznik trzynasty”, tak charakterystycznie swoją sytuację intelektualną: „Moje wykształcenie, owszem, książki, gazety, radio”.

Ala najbardziej charakterystyczną cechą wyboru pamiętników „Miesiąc mojego życia” jest bogactwo szczegółów, pieczołowitość dla faktu i konkrety. Czasami myśle sobie, że tym lepsza jest literatura, im lepsza u autora pamięć szczegółowa, który rozświetla rzecz ważką i wielką. Wyobraźnia kobieca celuje w odkrywaniu, dodajmy: w plastycznym odkrywaniu drobnych realiów, ma dla nich zrozumienie, natomiast niechęć do ogólników i frazesu. I jeszcze jedno, szczerłość. Szczerość wypowiedzi i wierzytelność prawdy pamiętnika. Przydaje mu wagi i blasku. Niedawno ukazały się w Anglii zapiski autobiograficzne długoletniej redaktorki miesięcznika „Women”, pani Greeth. W zapiskach jej wyczytałem następujące zdanie: „Kobiety mają znacznie szerszy zakres zainteresowań, niż mężczyźni”. Książka, która omawiam, zdaje się potwierdzać cytowane spostrzeżenie. Prace autorek z „Miesiąca mojego życia” cechuje pasja i ciekawość, stale dążenie do poznawania, niezaspokojony podstęp wiedz, „mysi” spostrzegawczości i humoru.

Uczestniczyłem niedawno w posiedzeniu jury konkursu pn. „Dwadzieścia lat mojego życia”. Wśród nadesłanych prac była jedna, która podbiła wszystkich jurorów odwagą, szczerością, temperamentem i dużymi zdolnościami literackimi. Ale nawet w pracach słabszych doszło do głosu to, co nas zawsze będzie uwoździć: prawda i autentyzm. Nie odkryją Ameryki, jeśli powiem, że życie każdego człowieka może być ciekawe, jeśli zostanie opisane szczerze, bez blagi. Nie odkryją Ameryki, ale stwierdzą rzecz znaną, z której jednak nie zawsze zdajemy sobie dostatecznie sprawę. Może ta szczególna wrażliwość na autentyzm bierze się stąd, że na co dzień obujemy z budzą i blagierstwem.

Jankoprowski



Todor Dinov (Bulgaria): Don Kichot, linoryt.

KSIĄŻKA Jerzego Waldena „Teatr potrzebny” przynosi garść wspomnień o teatrze frontowym i Dywizji Kościuszkowskiej. Żywo i z humorem opowiada o teatrze gromadki aktorów, których losy wojenne zagnały aż nad Okę, nie aspirując do walorów literackich, jak to sam autor na wstępie zaznacza. Lecz właśnie prostota i bezpośredniość jest główną zaletą tej książki.

A właściwie to jest trudne zadanie: przekazać historię powstawania tych programów i przedstawień teatru żołnierskiego. Dziś, w normalnych warunkach życia, słowo teatr kojarzy się z pojęciem gmachu, dekoracji, kostiumów, świateł — trudno więc wyobrazić sobie jak w jednostce wojskowej, w czasie działań wojennych może być mowa o teatrze.

HANNA MAŁKOWSKA

„TEATR potrzebny”

Istotę teatru stanowią trzy zasadnicze elementy: utwór, aktor i widz. Gdy więc ta gromadka aktorów miała teksty i to mocno związane z aktualnością i miała chętnych widzów-żołnierzy — był to już teatr. Mieli jeszcze dyrektora i autora w jednej osobie — poecie Leona Pasternaka, reżysera — Jerzego Waldena oraz orkiestrę pod wodzą Caimera. Pasternak zaproponował aby stałym tłem występów była tęcza. Skombinowana taka dekoracyjka, od której poszła nazwa „Teatryk z Tęczą”. Znalazły się jakieś elementy kostiumowe, bo właśnie w niezwykłych warunkach zżeczności i pomysłowości w wycharowaniu kostiumów i rekwizytów „z niczego” jest niewyczerpana.

Ala czy w czasie działań wojennych teatr jest „potrzebny”? Doświadczenia ostatniej wojny pokazały, że tak. Teatr był potrzebny w wojsku, na postojach nawet przyfrontowych, w szpitalach dla rannych; rodził się spontanicznie w obozach jenieckich, a nawet w obozach koncentracyjnych. Powstawał „na żądanie widzów” — ludzi spragnionych wspólnego przeżycia chwil wzruszenia, radości i wytchnienia od znoju, grozy i tęsknoty. Toteż wspominając występy żołnierskiego „Teatryku z Tęczą” słusznym jest autor pisząc: „To była najwspanialsza widowiska z jaką się kiedykolwiek w życiu spotkałem. Żołnierska widowiska, która grała wraz z nami. Na przemian śmiała się i płakała. Plakała nie tylko w chwilach, które do tego placu dawały prawo. Nie! Żołnierze płakali nawet wtedy, gdy orkiestra grała wiałankę polskich tang. Nikt się tych łez nie wstydział, nikt im się nie dziwił”.

Każda jednostka wojskowa chciała mieć swój teatryk. Nie więc dziwnego, że pewnego dnia Maria Czernerle, będąca wówczas w brygadzie pancernernej (nigdy nie przypuszczalam że miała coś wspólnego z tak ciężką bronią) — otrzymała rozkaz: — Za trzy dni dacie inauguracyjną premierę teatru. — Na zapytanie, gdzie jest ten teatr, otrzymała odpowiedź: — Na razie go nie ma. Zorganizujcie go! — I wedle relacji Waldena teatryk został zorganizowany ze zdolnych amatorów, których nowo mianowany dyrektor, Czernerle, wyszukała w swojej jednostce. Tylko podobno teksty były zbyt frywolne. Wobec tego wydział pol-wych.

wysłał nie kogo innego, tylko właśnie Waldena, aby skontrolował przedstawienie Marii Czernerle pod względem przyzwoitości. Tak znakomity dowcip tylko traf umie stworzyć.

Przez karty tych wspomnień przewijają się postaci generalów: Waltera, Berlinga, Wandy Wasilewskiej, Aleksandra Zawadzkiego i wielu oficerów (późniejszych wysokich dostojników państwowości), którzy ze wzruszającą troską opiekują się swoimi ze spłami. Spotykamy też wielu aktorów. W pierwszym szeregu — Dywizji widzieliśmy dobrze znanych łódzkiej widowiska: Halinę Billing, Ryszardę Hanin, Władysława Krasnowieckiego, Mariana Nowickiego, oboje Waldenów i wielu innych, których armia zagarniała „po drodze”. Przyłączała się poeci, muzycy, malarze.

Tego specyficznego zjawiska zwanego Teatrem, a będącego w okolicznościach wojennych składanką, czy koncertem, nie można mierzyć kryteriami artystycznymi czasów normalnych. Książka Waldena najświetniej przemówi do tych, którzy w czasie zawieruchy wojennej też mieli sposobność stanąć przed widowiskiem żołnierską, spragnioną polskiego słowa i wywołać wspomnienie z odległych już lat, kiedy to na widowisku na scenie nie lży dawały głos, a śmiech mieszal się z najgłębszym wzruszeniem. I chociaż można by zgłosić do autora małą pretensję, że może zbyt wiele miejsca poświęcił dywizyjnemu Ofermie, aczkolwiek rozumiemy jego sympatię do tej postaci, to w sumie książka Waldena o „Teatrze potrzebny” jest świadectwem, że polski aktor wędrował „borem lasem”, dzielił dole żołnierską, a niejednokrotnie i niebezpieczeństwa w drodze do Ojczyzny. Książka nie rości sobie pretensji do ścisłości dokumentu ale przekazuje klimat tych dni.

Takie właśnie wspominki o frontowych zespołach aktorskich działających w I Armii, o teatrach jenieckich, o przedstawieniach podziemnych w okupowanej Warszawie, o zespołach w armii walczącej na Zachodzie, złożą się kiedyś ni by kamyczki mozaiki na ogólny obraz teatru polskiego, działającego w warunkach najtrudniejszych, w chwilach dla narodu najcięższych. I dlatego wydaje mi się, że książka Waldena jako jeden z przyczynków do tego rozdziału historii polskiego teatru jest „książką potrzebną”.

Notatnik KULTURALNY

24. — 30. VIII.

PONIEDZIALEK

Na wystawie nowy tom wierszy Tadeusza Różewicza „TWARZ”. Oczywiście, kupić. Pierwsze stwierdzenie. Różewicz zachował swoją wizję świata i swoją konwencję, która wyróżnia z ust nieprzypadliwoci współczesnej poezji słowa o jej „niezrozumiałości”. W Różewiczu jest wiele wierszy, albo przynajmniej takich miejsc w wierszach, obok których nie przejdziesz ze wzruszeniem ramion, nieporuszony, nie zamysłujący się. Przeczytajcie na próbę wiersze „Larwa”, albo „Talent”, „Opowiadanie o

starych kobietach”. Albo choćby tylko piękne erotyki: „Ewa” i „Penta”.

WTÓREK

W starożytności Feniksy odradzał się jakoby z popiołów. W naszych przelazłych czasach zmarnych wychnianie bywa udziałem chyba tylko kinowych koników. I dzieje się tak już od lat: na ekrany wchodził dobry film, przed kinem rol się od razu od koników, po jakimś czasie napłynie o nich kłótnia z gazet i wtedy następuje sprężysta interwencja MO, po czym gazeta donosi z triumfem: „Koniki znikły sprzed naszych idn w wyniku sprawnej akcji organów MO”. No i czekamy na następny ciekawy, atrakcyjny film, a ledwie wejście na ekrany, już przed kinami zjawiają się zmartwychwstałe koniki. Po czym — da capro. Ogłaszam więc konkurs na jakis wreszcie skuteczny sposób na koniki. I nawet funduje nagrodę: dwa bilety na premierowy film. Bilety, oczywiście, kupić od koników.

ŚRODA

„MYSZ, KTORA RYK-NELA”. Znalazł się na odmianę twórcą, dla którego widmo atomowej zagłady

nie stało się przyczyną stworzenia utworu o „alienacji, dezintegracji, o utracie i zagubieniu w meluzjum świecie, na krańcach samozniszczenia”. Czy forma farsy przystaje do tego walec niewesołego tematu? Czy śmiejąc się z fabuli o niedoświadczonych zdobywających za pomocą luków współczesną Amerykę, chwytamy metaforę i podteksty filmu. Czy taki film nie powoduje lekceważenia niebezpieczeństwa atomowego? Przecież co chwila rozlegają się w świecie niebezpieczne trzaski — jak w tej filmowej bombie: to na Cyprze, to w Wietnamie. Te trzaski któregoś dnia mogą sprawić, że śmiech zastąpi nam na twarzach na zawiesz.

Ala czy można być wależ wyobcowanym, samotnym, zagubionym, „wścickim”, „pokoleciem straconym”? Co dzień i o każdej godzinie? Przecież trzeba rano wstać, zrobić siusiu, wciągnąć spodnie, pchać się w tramwaju, trzeba stanąć przy maszynie; budować domy, piec chleb, robić powidła na zimę; spotkać się z dziewczyną, wypić piwo pod kloskiem; włożyć mebla na raty, kochać się, rodzic. Kiedy tu być zagubionym i samotnym? W tym cho-

lerym tłoku w autobusie? W ogonku po mięso? A umrzeć i tak trzeba. Wieć może już z tym usniechem na zmęczonej głbie — z powodu „MYSZY”?

CZWARTEK

Posłaliśmy do parku Sienkiewicza zobaczyć wystawę okręgu rzeszowskiego ZPAP, o której się teraz tak dużo mówi. Zanim napiszemy szerzej — w skrócie trochę wiadomości.

Wystawa pokazuje 190 prac 60 malarzy i grafików przeważnie wychowanków krakowskiej ASP. Prezentuje wszystkie kierunki: od koloryzmu, powrozu, nadrealizmu, abstrakcjonizmu, do poszukiwaczy nowego realizmu. Ekspozycja jest równa, artystycznie niezabłagowana; mówi o dobrym rzemiośle, kulturze malarskiej i o sporej garści indywidualności twórczych. Pokazuje starych i młodych. Wśród których „najmłodsze” z nowoczesnych są zastanawiające obrazy Mariana Stronńskiego, niezacnego sobie lat... 72. W świecie czego podziła na „młodych nowoczesnych” i „starych staroświeckich” okazują się, jak zwykle — bzdurą. Młodość biologi-

czna nie ma nic wspólnego z młodością w sztuce.

PIĄTEK

W Salonie Plastyków na Piotrkowskiej 102 niedawna „tymczasowa” letnia wystawa. Wrażenie? Nijakie. Nie tych przedstawiających z sobą nie łączę, ani — na dobrą sprawę — nie dzieli. To nie paradoks. Bo co może być postimpresjonizm, który jeszcze nie wyszł z kolorystycznej mgiełki i ciałpek np. z „plakacystą”, albo z tym figuratywnym, którego kompozycja mówi o naiwności założonej, świadomej. Co reprezentuje ta wystawa? Jaki kierunek? Albo kogo? Nie, nie kogo. Jak poznać, że to dzieła powstały nie 50 lat temu, ale w wieku rozbięcia atomu, lotów kosmicznych, elektroniki, w wieku odkryć przyrodniczych, biologicznych?

Grymasimy. Pewnie. Bo to przecież nie jest żadna wystawa. Takie sobie letnie, ad hoc, zapalenie pustych ścian salonu. Nie-dobre jednak są takie wystawy; właśnie „letnie”. Ani złąbią, ani parzą.

SOBOTA

Hanuszkiewicz jest wybitnym reżyserem. W realizacjach Hanuskiewicza kryje się zawsze jakaś ele-

kawa propozycja teatralna. Pomysł Hanuskiewicza — choć często dyskusyjny — bywają zaskakujące i fascynujące. Lubimy więc sztuki reżyserowane przez Hanuskiewicza.

Telewizyjny „Przyczynek do podróży Cooka” był zrealizowany wakacyjnie. Spektakl kulał od pierwszych scen, rollo się od technicznych reżyserstich i aktorskich niedo-pracowań. Były i gaffy (np. XVII-wieczne jako ze stemplem „Made in Poland”). No i wreszcie to, kałeczenie, bał, kastrowanie tekstu: Hanuskiewicz poczynął sobie z tekstem Giraudoux niczym dziewczętko z koronkową sukienką próbując przerabianą na „małą czarną”. („Im więcej się wyniie, tym więcej się pokaże”). Czy godzi się tak lekceważąc świętego autora i milionową widowność?

Ala Hanuskiewicz jest przecież wybitnym reżyserem. W realizacjach Hanuskiewicza... itd., jak wyżej.

NIEDZIELA

Kultury życia codziennego trzeba uczyć się od lat najmłodszych: czy z taką nauką u nas, w Łodzi, dobrze się dzieje? By znaleźć odpowiedź na to pytanie, radzę zainteresowanym spędzić pół godziny przed Dworcem Kalskim.

I cóż tam widzimy? Oto przechodzi jakiś dalekobieżny podciąg i na placu przed dworcem wylewa się tłum. Uwaga: zaczyna się widowisko: matwini, ślabi, chorzy, no i kobile ty z dziećmi ustawiają się „w ogonku” po takówkę. Słuch, przedsiebiorczy, z instektawą, bicepsami i tupetem wależą „w potęgę” roztrzącając tych słabych, zdobywając nad nimi przewagę „z dobiezu” lub zgola na zasadzie chwytów znanych z walki wolnoamerykańskiej.

W tych warunkach kulturalnie oczywiście wyjątkowo „piękną polszczyzną”, i pełne kultuwały elegancie formy savoir-vivre. A z boku przysłaga się takim popisom ten i ów funkcje narzusz MO i SOK: ani im w głowie zamącić elekta we widowisko zarządzania mi porządkowymi. Podobnie krzemieli i miejscy wydział komunikacji, który już od dawna mógł wpaść na pomysły, by w miejscu tym ustawić barierki porządkującą dojście do taksówek i kierowcom wydad zarządzanie by przestrzegali pro siej zasady koleżności. A kultury trzeba uczyć, proszę władz!



**Przedstawiam
Państwu
opowiadanie
którego nie
pozwolili mi
zrealizować w TV**

Alfred Hitchcock

— Wydaje mi się, że on ją zamordował — powiedziała jedna z sąsiadek.
Trzy pozostałe potwierdziły to przypuszczenie.

Siedzieli przy stole i pili kawę, dzieląc się spostrzeżeniami. Przez okno obserwowały swojego sąsiada Andrew Brighta, który krzątał się po podwórzu.

Zaintrygowała je dość duża nieobecność jego żony. Ich podejrzania zaczęły przybierać zupełnie realne kształty. Cztery sąsiadki były na tropie sensacyjnego odkrycia. Wiedziały dotąd, że pani Bright wyjechała, jeżeli w ogóle wyjechała, chociaż tak twierdził jej mąż. Ale przecież nikt nie widział, żeby wyjeżdżała, a mieszkańcy przedmieścia na pewno by o tym wiedzieli.

W żaden sposób nie mogli sobie wytłumaczyć tego nagłego i pośpiesznego wyjazdu pani Bright.

— Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to okazało się prawdą. Tak, on chyba ją zamordował — powiedziała druga.

Początkowo była to tylko rozmowa. Na razie nikt nawet o tym nie myślał, żeby taki miły człowiek jak Bright mógł dopuścić się zbrodni. No dobrze, ale przecież jego żona już dawno wyjechała i do tychczas nie przysłała ani jednego listu. Podobno znajdowała się w Kalifornii.

Po pewnym czasie listonosz systematycznie zaczął przegłądać wszystkie listy przychodzące z Kalifornii.

Pani Bright wyjechała do ciotki, ale ani razu nie napisała do swojego męża. Jedną z sąsiadek przypadkowo spotkała go na rynku i po prostu powiedziała mu o tym.

— To prawda, ja też jestem trochę zaniepokojony. Myślę, że Agnes napisze — uśmiechnął się.

I rzeczywiście. Po kilku dniach Agnes przysłała pocztówkę.

— Nie sądzę, żeby to był jej charakter pisma. Oglądalem listy, które wysyłała. Nie, to nie ona pisała — powiedział listonosz.

Znowu zaczęto o tym mówić, ale teraz wątle początkowo podejrzenia były już poparte faktami.

Niebawem dowiedziano się, że Andrew Bright chce sprzedać swój dom.

— Mojej żonie bardzo podobają się w Kalifornii. Jest mi wszystko jedno, gdzie będzie mieszkał. Trudno, jeżeli

SHIRLEY ANN FAY

szła kobieta z trudnością ła-
piąc powietrze. Sąsiadki zam-
arły z przerażenia. Z nie-
cierpliwością czekały na dal-
sze wiadomości.

— Moja przyjaciółka poje-
chała do rodziny, która miesz-
ka w Kalifornii. Podałam jej
adres ciotki Agnes Bright i
prosiłam, żeby się czegoś o
niej dowiedziała. Okazuje się
że ciotka już umarła. Dwa
lata temu! Agnes nigdy tam
nie była!

Kobiety przez chwilę spo-
glądały na siebie w milcze-
niu.

— Trzeba zawiadomić poli-
cję — powiedziała jedna.

— Chyba tak. A oprócz te-
go musimy powiedzieć o tym
swoim mężom. On na pewno
ją zamordował!

I opowiedziały, a mężowie
zaczęli obserwować dom
Brighta. Pewnego wieczoru
zauważono, że Bright wynosi
z domu duży czarny kufer.
Kilka minut potem policja
otrzymała anonimowy telefon.

Andrew Bright siedział
przed telewizorem i pił ka-
wę, kiedy ktoś zadzwonił do
drzwi. Wstał i poszedł otwo-
rzyć. Do mieszkania weszli
dwaj mężczyźni. Powiedział
mu, że są z policji i że in-
teresuje ich los jego żony.

— Wyjechała do Kalifornii,
do swojej ciotki.

— Ciotka umarła dwa lata
temu. Chyba pan o tym wie?
Bright opuścił głowę. Był
wyraźnie zaskoczony.

— Panowie, będę z wami
szczerzy i niczego nie będę
ukrywał. Po klótni żona po-
wiedziała mi, że wyjeżdża.
Nie powiedziała dokąd jedzie



— Widzę że wy nie docenia-
cie mojej żony. Ona jest bar-
dzo bogata i na tyle doświad-
czona, że nie da się skrzyw-
dzić. Oprócz tego nie lubi je-
żeli ktoś wtrąca się w jej
osobiste sprawy.

— Po co pan wynosił kufer?
— Był już stary i beużyte-
czny, dlatego go wyrzuciłem.

— Pan sprzedaje dom i me-
ble. Czy ma pan zamiar stąd
wyjechać? Chyba żona też be-
dzie miała coś do powiedze-
nia w tej sprawie?

— Czekalem na nią dość
długo, a oprócz tego ten dom
należy wyłączyć do mnie.
Mogę nim rozporządzać we-
dług własnego uznania. Jeżeli
wróci — niech stara się mnie
znaleźć.

Policjanci nie byli zadowo-
leni z tych odpowiedzi.

— Oczywiście, nie mamy
prawa panu nie wierzyć, ale
chyba pan nie będzie miał
nie przeciwko temu, jeżeli my
obejrzemy dom.

— Po co? Zupełnie nie ro-
zumiem. Dlaczego mi nie wie-
rzycie? Myślicie, że coś się z
nią stało? Podejrzewacie
mnie, że ja... zamordowałem.

W czasie rewizji znalezi-
ono futra oraz biżuterię pani
Bright, ale Andrew w dal-
szym ciągu trzymał się pierw-

szej wersji swojego zeznania.
Odnaleziono również stary
kufer. Okazało się, że jest pu-
sty. Nie było prawie żadnych
dowodów winy, którymi moż-
na było obciążyć Brighta. Jed-
nen z policjantów znalazł się
kier, na której widniały śla-
dy krwi. Bright twierdził, że
skaleczył się przy rąbaniu
drzewa. W dodatku on i jego
żona mieli tę samą grupę
krwi i na razie w żaden spo-
sób nie można było oskarżyć
go o morderstwo.

Pewnego dnia, kiedy poli-
cjanci jak zwykle przeszuki-
wali mieszkanie męcząc po-
dejrzanego nie kończącymi się
pytaniami, przed domem za-
trzymała się taksówka, z któ-
rej wysiadła Agnes.

— Andrew — krzyknęła —
zapłać szoferowi. No, naresz-
cie jestem w domu. Wiesz,
podróże są przyjemne ale tro-
chę męczące. A co tutaj ro-
bia ci ludzie?

Bright wszystko opowie-
dział żonie. Nawet pokazał
jej zakrwawioną siekiere.

— Byłam u kuzynki w Pitts-
burgu, przecież mówiłam ci
o tym przed wyjazdem. A
oprócz tego ty doskonale
wiesz, że ja nie lubię pisać li-
stów...

Przełożył:

Roman Gorzelski

NIE ZAPOMNIJ NAPISAĆ

ona chce... — wyjaśnił.
— Tam gdzie ona teraz jest,
na pewno jej się podoba —
powiedziała sąsiadka z uśmie-
chem.

— Ale chyba trochę za go-
raco — szepnęła druga.

Kiedy odszedł, stały jeszcze
dość długo i zastanawiały się
czy on naprawdę ją zamordo-
wał.

Andrew Bright od czasu
wyjazdu żony musiał sobie
przygotowywać posiłki. Wido-
cznie nie lubił spożywać ich
w samotności, bo kilka razy
widziano go z pewną młodą
blondynką, która pracowała
w pobliskim banku. Zauwa-
żono, że często go odwiedza.
Na pewno by tego nie robił,
gdyby żona była w domu,
albo jeżeli miałaby kiedyś
wrócić.

— Ciotka umarła!
— Co?
— Ciotka umarła! — powtó-

i kiedy wróci. Prosiłem że-
by napisała, ale nie otrzyma-
łem od niej żadnej wiadomo-
ści.

— Pana obowiązkiem było
zawiadomić policję.
Andrew Bright uśmiechnął
się gorzko.

**fraszki
jana Czarnego**

ZAKŁĘCIE
Czy Bóg, czy totem
mówi wiernym: potem...

AŻEBY...
Ażeby znaleźć gangi i kłiki
nie trzeba jechać do Ameryki.

Lewym okiem



**SPOKOJNIE,
MIŁE MUSZKI!...**

Trudno, czasem trzeba
coś nieapetycznie; niedaw-
no wymyślono zresztą nowy
termin na określenie wszy-
stkiego co odpychające, co
budzi wstręt i odruch nie-
smaku: turpizm. Nie mó-
wimy więc o wstrętnej poe-

zji. Mówimy o poezji tur-
pistycznej — od razu jest
i erudycja, i zielone świa-
tło, i filozoficzne korzenie.
Przy takich parantelach
niechęć i długopis kronika-
rza ma prawo do tematów
— jakżeśmy to rzekli? — nie-
apetycznych.

Pewnemu Aleksandrowi
od paru tysięcy lat za wiel-
ki czyn pocytuje się roz-
cięcie supła mieczem. Pod-
szedł, machnął i całe gor-
dyjskie zagadnienie przesta-
ło istnieć. My, jeśli pod-
chodzimy to po to, żeby do
istniejących węzłów dodać
języczne z tuzin, zaplątać,
udziwnić i zostawić. —
Myjcie owoce! (zwłaszcza
latem, kiedy siadają na nich
muchy przenoszące zarazki z
przepełnionych śmietni-
ków...)

— oto, co nam radzi prasa.
No cóż, dobrze radzi. Śmiet-
niki rzecz nadeludzka, ich
zasadniczą przyrodzoną ce-
chą jest właśnie przepel-
nienie.

Ktoś mądry wymyślił
okragłe, blaszane puszki z
klapą i uchwytem. Puszki
znormalizowano, co rano
przyjeżdża specjalny samo-
chód, staje przed każdym
domem, wypróżnia puszkę z
nagromadzonych w nich od-
padków i puste zostawia do
dalejszego użytku. Sprawnie,
nowocześnie, wszystko gra.
Wprawdzie niektóre puszki
nie otwierają się bez dwna-
mitu, za to innych nie moż-
na zamknąć, bo albo pomyło-
no klapy, albo w zawiasach
siedzą złośliwe jak u Mro-
zka gnomy i przeszkadzają.
Wprawdzie specjalny samo-

chód nie przyjeżdża ani co
rano, ani co tydzień, jego
przyjazd jest zupełną lote-
ryjką i tylko dziwić się
wypada mieszkańcom smut-
nych łódzkich kamienic, że
nie licząc się z nieczym sy-
stematycznie wynoszą w ku-
belkach różne świństwa i
jakby nigdy nie wałą z ni-
mi do puszek. Za to jak
już specjalny samochód
przyjedzie — wie o tym
cała ulica. Szyby brzęczą
od huków, koty miauczą, ka-
narki głuchną, potem nagle
wszystko cichnie, na chod-
niku zostaje tuzin rozwalo-
nych do reszty puszek i
sterta tych samych śmieci,
podrygujących beztrzesko na
wietrze.

Oczywiście, jeśli dozorca
dba o uszy lokatorów, a ta-
kich mamy większość, nie

wyciąga puszek z podwór-
rza na ulicę i spokój. Pusz-
ki giną wkrótce pod hałda-
mi obierzyn i stłuczki
szklanej, dzieci mają się
gdzie bawić w chowanego,
a muchy... (myjcie owoce!)

Dozorca uparty wywozi
jednak puszki i ustawia na
skraju chodnika. Potem
przez cały dzień chodzimy
po wąskiej ulicy Kilińskie-
go ślalomem od puszek do
puszek, od zapachu do zapa-
chu, rozbebeszone wnętrza
blaszanek przyprawiają nas
o turpistyczne dreszcze,
psy z niesmakiem odwraca-
ją rasowe pyski, a muchy...
(myjcie owoce).

Myjcie owoce tym bar-
dziej że — jak już na tym
miejscu wspomniałem —
spryskiwano je przed zer-
waniem owadobójczymi środ-

kami. Śmietników nikt ni-
czym nie spryskuje, to by
było za proste. Dopóki ktoś
— najlepiej dozorca — po-
derwany nagłym przypły-
wem wiary w material-
istyczne bóstwo higieny nie
wystawi blaszanek na chod-
nik, dopóki nie dotrze do
nich jeden z nielicznych,
zblakany asenizacyjny wóz,
którego załoga w dodatku
będzie naprawdę chciała
wykonać dobrze co do niej
należy — spokojnie, miłe,
czarne, złociste, zielone i
granatowe muszki, muchy,
muszyska.

My zaś odkładamy alek-
sandyjskie miecze i — nie
widząc innej rady — myje-
my owoce, zadowoleni z hi-
gienicznej samodyscypliny.

CWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Billński (red. naczelny), Konrad Frejlich, Wanda Karłowicz, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski.
Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca — Prenumeratę przy-
muja wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPKI „Ruch” — z oznaczeniem: na „Odece” Druk: RSW „Prasa” — Łódź Zwirki 17. Zam. 2714 IX. 64 F-13